

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE



- ❧ **Koleje losu**
- ❧ **Przyjaźń z książką**
- ❧ **Zielonogórskie winiarstwo**
- ❧ **Pory roku**
- ❧ **Habitat**

Stare ulice

Tętniczki ulic

wąskie króciutkie

wtłoczone w piętra

stylów i czasu

wyszlifowane

granitu brukiem

poprzetykane

szczerbami dachów

Zenon Czarnecki

Pionierzy

CHASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Zielona Góra w 1910 r.,
widok na zachodnią część dzisiejszego
placu Bohaterów (dawna pocztówka)

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.

W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.

Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Oddajemy w ręce Czytelników kolejny, 2/9/99 numer „Pionierów”. Zawiera on dalszy ciąg wspomnień z pierwszych powojennych lat w Zielonej Górze p. Ryszarda Gałuszewskiego. Zadziwiające, jak ci ludzie, którzy w czasie wojny często potracili wszystko, potrafili wbrew wielu przeciwnościom tworzyć tu swoje nowe życie. Ich atutem była młodość. Potwierdza to w swoich wspomnieniach Stanisław Prałat.

Bardzo piękną opowieść o przyjaźni z książką snuje w rozmowie z Grzegorzem Chmielewskim p. Kazimierz Malicki, wieloletni księgarz i dyrektor Domu Książki w naszym mieście. Kolejną rozmowę o losach rodziny p.p. Pateckich, która w końcu po wielu peregrynacjach dotarła do Zielonej Góry przedstawia Małgorzata Twarowska, która jest także autorką dalszego cyklu opowieści o zielonogórskich cmentarzach. Marian Patecki był w Zielonej Górze przez szereg lat znanym fotografem.

Dla „Poleszuków” (i nie tylko) jest dobra wiadomość: Jadwiga Kolibabka publikuje piąty odcinek swych wspomnień pt. „Pińsk – stolica Polesia ma 1000 lat”. Tym razem dotyczą one lat dwudziestych XX wieku. Ciekawa lektura. Jan Muszyński w swoim cyklu pt. „Rozmyślania po północy” przypomina sylwetkę znanego, przedwcześnie zmarłego artysty-plastyka Mariana Szpakowskiego. Harcmistrz Wiesław Cieśla pisze o dziejach ZHP na Babiomojszczyźnie przed wojną. Jak się okazało, były to niejednokrotnie dzieje dramatyczne. Stanisław Ostrowski szkicuje historię lubuskiego winiarstwa.

W sumie ten numer to okazja do bardzo różnicowanej lektury, do której zachęcamy.

Ryszard Gałuszewski

Niektóre wspomnienia albo z mojego życia (cz. II) niektóre wspomnienia pioniera Ziemi Odzyskanych

Lata 1946-1948 były dla mnie kolejnym bardzo trudnym okresem życia. Poniemieckie zasoby, pozwalające utrzymać się przy życiu, zostały wyczerpane, a perspektywa zdobycia pracy była minimalna.

Nie stała też na porządku dnia sprawa mojej dalszej nauki, chociaż moi rówieśnicy rozpoczynali naukę w różnych szkołach. Zdrowie stryja Jana też najlepsze nie było, a głównym problemem było zdobywanie środków na utrzymanie licznej, bo już 6-osobowej rodziny. Rozpocząłem więc ze stryjem Janem działalność „handlową”. Czynności sprawowały się do zakupu zboża, jego przemiału, sprzedaży mąki. Żeby cykl ten zrealizować, wykonywaliśmy wiele mozolnych czynności. W pierwszym rządzie raz lub dwa razy w tygodniu wyjeżdżaliśmy PKP do stacji Wróblin pod Głogowem po zakup pszenicy bądź rzepaku. Sama jazda pociągiem osobowo-zbiorczym była już dosyć uciążliwa. Uciążliwość polegała na tym, że w tamtym kierunku kursował tylko jeden pociąg na dobę i prowadził chyba dwa wagony osobowe oraz kilka wagonów towarowych. Wyjeżdżał z Zielonej Góry około godz. 6 rano i odległość 44 km do stacji Wróblin Głogowski pokonywał w 4 godziny. Przyczyną trwania tak długo podróży było to, że pociąg ten prawie na każdej stacji odczepiał lub przyczepiał wagony towarowe. Czynności manewrowe wykonywała lokomotywa ciągnąca skład pociągu łącznie z pasażerami. Latem oczekiwanie manewrowe na poszczególnych stacjach nie było tak męczące, ponieważ można było wylegiwać się na ławkach w stosunkowo pustych wagonach 3 klasy.

Gorzej było w okresie jesienno-zimowo-wiosennym, kiedy to po odczepieniu parowozu w wagonach, niekiedy bez szyb okiennych, robiło się bardzo zimno. Ratunkiem przed zimnem na stacjach Nowa Sól i Bytom Odrzański było wyjście na czas manewrowy z wagonu do poczekalni. Na pozostałych przystankach poczekalnie były równie zimne jak wagony. Na stacji Wróblin Głogowski byliśmy przeważnie o 10 rano. Dalszą podróż do okolicznych wiosek odbywaliśmy na rowerach zabieranych ze sobą do tzw. „Brancartu”. Chodząc od zagrody do zagrody, dopytywaliśmy się gospodarzy, czy nie mają pszenicy lub rzepaku na sprzedaż. Było bardzo dobrze, jeżeli zakup udał się blisko stacji i w większej ilości, np. 1-2 tony. Ilość taka zabezpieczała kilka kursów wyjazdu. Gorzej było, kiedy za zakupem trzeba było odjechać nawet 10 km od stacji Wróblin. Powodzenie dobrego zakupu zależało również od pory roku. Po żniwach zakup był łatwiejszy. Na przednówku nabycie towaru narażało dużo trudności. Po dokonaniu zakupu zboża trzeba było je przetransportować do stacji kolejowej. Jako środek transportu służył oczywiście własny rower. Na każdy rower zabierało się jednorazowo trzy worki po 50 kg ułożo-

ne na ramie tak, aby można było go prowadzić idąc obok. Była to dla mnie czynność dosyć ciężka, szczególnie podczas letnich upałów i po zimowych opadach śniegu. Z zakupionym towarem trzeba było zdążyć na stację Wróblin przed godz. 18 – spóźnienie groziło czekaniem przez całą dobę na następny pociąg, aby w sposób podobny do porannej podróży około godz. 22 powrócić do Zielonej Góry. Na stacji przywiezione worki ponownie układało się na rowery i późną nocą docieraliśmy do domu przy ul. Krośnieńskiej. Z reguły następnego dnia dokonywaliśmy przetransportowania rzepaku do olejarni, a pszenicy do młyna. Tu transport odbywał się przy pomocy poniemieckiego, małego, ręcznego wózka drabiniastego. Olejarnia znajdowała się stosunkowo blisko, bo na ul. Jedności Robotniczej (chyba tam, gdzie mieści się monopol spirytusowy). Znacznie dalej było do młynów. Najczęściej korzystaliśmy z dość dużego młyna we wsi Przylep, którego właścicielem był bardzo zacny człowiek pan Wierażko. W młynie tym następowała od ręki wymiana pszenicy na mąkę, a jako opłatę za przemiał pozostawiano się otręby. Inną zaletą tego młyna było to, że piekarnie chętnie kupowały mąkę od Wierażki z Przylepu. Pan Wierażko był człowiekiem bardzo życzliwym dla ludzi, a ja osobiście wspominam go jako tego, który chciał koniecznie wyszkolić mnie na młynarza. Krótka praktyka we młynie jednak została przerwana ze względów rodzinnych.

Inny młyn, z którego korzystaliśmy, znajdował się na ul. Strumykowej. Był to stary wiatrak bez skrzydeł, a jego urządzenia wewnątrz poruszane były przy pomocy elektryczności. Właścicielem tego wiatraka-młyna był inwalida frontowy, z mocno uszkodzoną ręką, pan Maślanko. Był to człowiek bardzo sympatyczny, jednak posiadał okaleczoną przez wojnę psychikę. Miał wielki żal do wojny, że ta zrobiła go inwalidą w tak młodym wieku. Ukojenia często szukał w alkoholu. Młyn ten dla nas nie był zbyt wygodny. Działo się tak dlatego, że bardzo wcześnie został on przez władze zamknięty i opieczętowany. Przemiał więc odbywał się nielegalnie. Do wiatraka-młyna wchodziło się specjalnie wykonanym wejściem, a przemiał niekiedy odbywał się w porze nocnej. Dlatego przywiezione zboże nie mogło być magazynowane, lecz poddawane natychmiastowemu przemiałowi, a mąka szybko była wywożona na zewnątrz. Czas trwania przemiału wypełniony był „zakrapianiem”, więc z czasem usługa tam świadczona stała się dla nas nieopłacalna, a mąka nie posiadała dobrej opinii wśród piekarzy. Inny młyn znajdował się aż w Czerwieńsku. Transport zboża i mąki

na wspomnianym wózku odbywał się przez las z pominięciem Przylepu. Młyn ten dla nas był mało atrakcyjny ze względu na dużą odległość, trudny przejazd przez las, nieterminowość wykonywania usługi oraz niską jakość mąki.

Teraz następował czas zbywania posiadanych produktów. Olej był sprzedawany na ryneczku przy placu Wielkopolskim oraz dostarczany do funkcjonujących jeszcze kilku prywatnych sklepów spożywczych. Odbiorcami mąki były w zasadzie wyłącznie działające prywatne piekarnie. Mogę powiedzieć, że prawie ze wszystkimi prywatnymi piekarniami pracującymi w mieście miałem kontakty handlowe na małą skalę. Jednak kontrahenci byli różni. Szczególnie dobrze układały się stosunki handlowe z piekarzami: Jankowskim, Adamczewskim, Piszczalką, ale chociaż nieliczni, byli i tacy, od których nigdy za dostarczoną mąkę pieniędzy nie odebraliśmy (ich nazwiska świadomie pomijam). Częste kontakty z piekarzami spowodowały, że rozpocząłem terminowanie u mistrza piekarskiego pana Piszczalki, jednak i tu warunki rodzinne nie pozwoliły mi na dłuższą naukę.

W tym czasie pan Mazepa – mistrz rzeźniczy chciał uczynić ze mnie rzeźnika, a maszynista kolejowy pan Garlicki pomocnika maszynisty kolejowego. Dyskusje nad moją dalszą nauką odbywały się w wozowni pana Kazika Sałacińskiego, z których w zasadzie dla mnie nic nie wynikało. Życie w tym czasie nie sprzyjało, żebym rozpoczął systematyczną naukę z kilku powodów. Pierwszym, chyba najistotniejszym, było to, że podjęcie nauki zawodu nie dawało prawie żadnych dochodów, a pieniądze w tym czasie w naszym domu były bardzo potrzebne. Zdrowie stryja Jana było bardzo nadwyrężone, a pójście do mało płatnej pracy stryjenki Wandy tylko w małym stopniu ratowało sytuację. Drugim, bardzo istotnym powodem, było uciekanie z zawodów rzemieślniczych do pracy w zakładach uspołecznionych. W tym czasie toczyła się walka władzy państwowej z tzw. prywatną inicjatywą. Następowo zamykanie prywatnych warsztatów rzemieślniczych, piekarni i sklepów. Z tego powodu zainteresowanie szkoleniem nowego narybku gwałtownie zmalało. Tocząca się walka państwa z prywatną inicjatywą spowodowała, że nasza działalność handlowa nie miała racji bytu i w końcu 1948 roku zamarła prawie całkowicie. Prowadzone przez MO kontrole na drogach wykluczały swobodne poruszanie się między wioskami i miastami. Był nawet przypadek, że funkcjonariusze MO mocno się zdziwili, iż wieziemy tak dużo mąki na własne potrzeby. Od marca do lipca 1947 roku odbyła się istna batalia w obronie domu na ul. Krośnieńskiej 22. Właśnie 9 marca niejaki inż. Wacław Chinalski otrzymał przydział na nasz dom z PUR. Wprawdzie ja udziału bezpośredniego w tych działaniach nie brałem, ale atmosferę domową przeżywałem bardzo mocno. Obrona domu pochłonęła też określone środki finansowe, jakich za dużo nie było.

Ale równolegle z działalnością „handlową”, która była bardzo trudna i mało wdzięczna, toczyło się życie towarzysko-rozrywkowe będące atrybutem młodości. Ja, dzięki Tadeuszowi Łazowskiemu i Zygmuntowi Chojnackiemu, podłączyłem się do grupy ze średniej szkoły przemysłowej przy zakładzie „WAGMO”. Miałem nawet czapkę, jaką nosili uczniowie tej szkoły, której oczywiście używałem bezprawnie. W naszym gronie było wielu wspaniałych kolegów. Byli

to koledzy: Jankowiak, Szymkowiak, Sadurski, Kubik, Kopyński i wielu innych, których niestety nazwiska i imiona zatarły się w mojej pamięci. W gronie naszym przebywały również często dziewczyny z handlowki, a były to koleżanki: Wanda Osowska, Halina Mucha, Zosia Kubiak i wiele innych. Życie kulturalne zaczynało się od, czynnego od początku, kina „NYSA”. Zmiana filmów następowała w końcu tygodnia i pojawienie się nowego obrazu było wydarzeniem. Pierwsze filmy pochodziły z zasobów poniemieckich, ale wkrótce pojawiły się filmy radzieckie, przeważnie o tematyce wojennej. Natomiast wyświetlanie pierwszych filmów polskich przyjmowano różnie. Obok cieszących się zainteresowaniem i naszym uznaniem, były też filmy beznadziejne. Był nawet film taki, który wszedł do obiegu przy złym życzeniu dla kogoś. Jeśli komuś np. chciało się źle życzyć, to używało się sformułowania: „Abyś musiał obejrzeć film – »Jasne łany«” bądź też: „Aby zalały cię jasne łany”. Obejrzenie każdego wyświetlonego filmu było prawie patriotycznym obowiązkiem. Inną formą rozrywki były zawody sportowe, a szczególnie piłka nożna i boks. Klubami wiodącymi w tych latach był: KS „Wagmo” ze stadionem na ul. Sulechowskiej, KS „Zieloni” ze stadionem na ul. Wrocławskiej oraz KKS „Kolejarz” ze stadionem na ul. Wyspiańskiego. Działalność też przez pewien czas nisko notowany KS „Energetyk”. Oczywiście stała walka o palmę pierwszeństwa, tak w piłce nożnej, jak też w boksie, toczyła się pomiędzy KS „Wagmo” a KS „Zieloni”. Zarówno mecze piłki nożnej jak też zawody bokserskie na Wągrowie bądź w „Parkowej” między tymi drużynami przyciągały liczne grono zagorzałych kibiców każdej ze stron. Okrzyk „sędzia kalosz” bądź „sędzia kury doić” był chyba najbardziej obraźliwy. O rzucaniu kamieni lub butelek na boisko nikt nawet nie pomyślał.

Zdarzały się też mecze cieszące się bardzo dużym zainteresowaniem. Meczem takim w piłce nożnej było spotkanie między KS „Wagmo” a KS „Fablok” z Chrzanowa. Cała brać sportowa silnie przeżywała to wydarzenie. Nasza grupa oczywiście zawsze kibicowała drużynie „Wagmo”. Kilku kolegów z naszej grupy trenowało w tym klubie, a niektórzy nawet występowali w pierwszych ich składach jako zawodnicy.

Bardzo dużą popularnością cieszyły się młodzieżowe potańcówki. Szczególnie udane potańcówki odbywały się w ogólniaku przy ul. Licealnej, w hali sportowej przy ul. Moniuszki, w Parkowej przy ul. Krośnieńskiej, na Wągrowie przy ul. Urszuli, na strzelnicy przy ul. Strzeleckiej oraz przy ul. Botanicznej. Były to zabawy bez spożywania alkoholu. Podchmielonego porządkowi natychmiast usuwali z parkietu.

Przebojami powszechnie panującymi były: „Noc w Zakopanem”, „Siwy włos”, „Tango Milonga”, „Czarnoksiężnik”, „Niebieska chusteczka”, „Płynie strumyk”, „Hej chłopcy”, „Marynika”, „Autobus czerwony”, „Kwiat paproci”, „Karuzela”, „Serce w plecaku”, „Przygoda na Mariensztacie”, „Nie szumcie wierzby nam”, „Nie wiem, ach nie wiem, jak to się stało” i masa innych melodii, których popularność istnieje do dziś. Scenariusz każdej potańcówki był jednakowy. Kiedy zaczynała grać orkiestra, chłopcy zgrupowani po jednej stronie parkietu ruszali w kierunku dziewcząt siedzących po przeciwnej stronie i tam, kłaniając się nonszalancko, prosili swoją wybrankę do tańca. Bardziej

atrakcyjne dziewczęta miały większe powodzenie, więc należało się bardzo spieszyć, aby konkurencja szybciej nie zadziałała i nie zostać na środku sali bez partnerki. Bardzo przykrym wydarzeniem dla każdego z nas było otrzymanie „kosza” podczas proszenia do tańca. Jednak dziewczyna była przez nas ukarana. Kara polegała na tym, że do końca zabawy nikt jej już do tańca nie prosił. Grupa nasza wiedziała natychmiast, o co chodzi, natomiast chłopcy niewtajemniczeni z innych grup byli bardzo szybko uświadomieni i z reguły męska solidarność działała skutecznie.

Poważną sprawą i barometrem popularności każdego z nas było białe tango. Kiedy tango takie zostało zapowiedziane i orkiestra grać zaczęła, w szeregach chłopców następowało napięcie oczekiwania. W głowie każdego na pewno kłębiła się tylko jedna myśl – „czy przyjdzie poprosić?” Poproszeni przez dziewczyny do tańca szczęśliwcy unosili wysoko do góry głowy i zaczynali z reguły „zaczyniac”. W gwarze naszej „zaczynianiem” nazywaliśmy skuteczne nawiązanie znajomości i umówienie się na spotkanie w przyszłości.

Oczywiście gorsze samopoczucie mieli ci z nas, którzy zaproszeni do tańca nie zostali. Jednak przy następnych kawałkach złe samopoczucie szybko mijało i przychodziła nadzieja, że następnym razem będzie lepiej.

Lecz były też utwory grane przez orkiestrę, prawie na każdej potańcówce, których się nie tańczyło. Melodie „Czerwone maki” i „Warszawo, Ty moja Warszawo” traktowane były jak świętość. Już podczas pierwszych taktów tych melodii wszyscy wstawali z miejsc i w wielkim skupieniu tkwili aż do ich zakończenia.

Nie wiem, dlaczego walc angielski zwany też bostonem był bojkotowany przez naszą grupę. Panowała maniera, że z chwilą rozpoczęcia się tej melodii wychodziliśmy poważnie z sali.

Potańcówki młodzieżowe spełniały bardzo ważną rolę w integracji nowej społeczności. Na zabawach tych nikt nikogo nie pytał, skąd przyjechał do Zielonej Góry. Pochodzenie każdej spotkanej osoby można było w początkowym okresie rozpoznać po akcencie, chociaż później metoda ta stawała się bardzo zawodna. Potańcówki te były również dla wielu z nas początkiem przyjaźni.

Po sobotnich uciechach przychodziła niedziela i zwyczajem naszej grupy był udział w nabożeństwie odprawianym dla młodzieży o godz. 10⁰⁰ w kościele Najświętszego Zbawiciela. Grupa nasza w zasadzie pojawiała się w całości i zajmowaliśmy miejsca na balkonie przy samej balustradzie. Zaletą tych miejsc było to, że było to doskonałe miejsce obserwacji wszystkiego tego, co działo się na dole, nie wykluczając ołtarza i księdza tam odprawiającego nabożeństwo. Jednak uwaga nasza głównie skoncentrowana była na tej części kościoła, gdzie zgromadzona była młodzież, a szczególnie dziewczęta ze wszystkich średnich szkół miasta. W tym czasie w szkołach była jeszcze religia, a w niedzielę młodzież czwórkami maszerowała do kościoła. Jako baczni obserwatorzy szybko dostrzegaliśmy na dole każdy swój „obiekt” zainteresowania i przez cały czas wpatrywaliśmy się w jej postać, ruchy i zachowanie. Po tak spędzonej prawie godzinie czasu nie bardzo wiedzieliśmy, o czym mówił ksiądz, ale doskonale był nam znany każdy szczegół

ubrania, zachowania czy fryzury naszego „Bóstwa”. Szkoła tylko, że „obiekty naszych marzeń”, nie wiedziały, jak bardzo cierpimy z powodu dzielącej nas odległości, ponieważ były odwrócone plecami do nas i zapatrzone w ołtarz, nie zwracały uwagi na nas siedzących z tyłu na balkonie.

Istotną częścią naszego życia towarzyskiego były okolicznościowe prywatki. Odbływały się one z okazji imienin u poszczególnych solenizantów w ich mieszkaniach. Szczególnie miła i swobodna atmosfera panowała na imieninach u Henia Jankowiaka mieszkającego w pobliżu Wągmostawu na ul. Urszuli. Jego przesympatyczni rodzice stwarzali warunki do wspaniałego spotkania. Tam właśnie przy akompaniamencie gitary śpiewaliśmy wszystkie nam znane piosenki, opowiadaliśmy stosowne dowcipy, bawiliśmy się w głuchy telefon, poczytaliśmy, fanty oraz inne mądre zabawy młodzieżowe. Co ciekawe, że w tamtych czasach mogliśmy się dobrze bawić bez nagminnego palenia papierosów, a jedna butelka wina wystarczała na cały wieczór dla dosyć pokaźnej grupy młodzieżowej.

Grupa nasza była często na Wągmostawie. Tam właśnie odbywały się mecze bokserskie, było z łódkami lustro wody, po którym były puszczane w czerwcu wianki, grała orkiestra zakładowa i można było przyjemnie spędzić czas ze swoją dziewczyną. Również Wzgórza Piastowskie były atrakcją dla części naszej grupy, gdyż było to wysmienite miejsce na długie spacer. Były tam rozmieszczone ławeczki w prawie dzikich zaroślach. Harcerze często organizowali ogniska, a zespoły artystyczne w amfiteatrze przedstawiały swoje programy artystyczne.

Często też w okresie letnim wyjeżdżaliśmy nad Odrę w okolice wsi Krępa. Odległość prawie 10 km, jadąc przez wieś Chynów, pokonywaliśmy na rowerach. Był tam przepiękny teren dzikich rozlewisk Odry i prawie nieuczęszczane przez ludzi tereny. Dziewczęta przygotowywały wcześniej „wałówki”, a chłopcy wino, najczęściej „Żeglarz”. Przeważnie w niedzielę po kościele wyruszyliśmy w plener. Tak się w zasadzie zawsze składało, że każdy chłopak był z rowerem, a na ramie wiozł jakąś dziewczynę. Bywało i tak, że jadąc kolumna się pogubiła i dopiero po jakimś czasie zbierali się wszyscy w wyznaczonym miejscu, aby dalej kontynuować zabawę. A zabawa to: wspólny śpiew z gitarą, gra w piłkę, opowiadanie dowcipów, łowienie ryb i oczywiście kąpiel w Odrze. Podczas jednej z takich wycieczek zdarzyło się, że po raz trzeci w życiu topiłem się w rzece. Tym razem stało się to za sprawą wiru, w jaki dostałem się podczas kąpieli. Sytuacja była o tyle ciekawa, że kiedy wciągany byłem przez wir wody na dno rzeki, stojący na brzegu koledzy uważali, że nurkuję i nikt nie pośpieszył mi z pomocą. Ale po tym doświadczeniu nikt już samotnie do Odry nie wchodził.

Bardzo modna w naszej grupie była rywalizacja, kto ma więcej piosenek spisanych w posiadanym zeszycie, a każda nowa piosenka czyniła jej posiadacza prawie „bohaterem”. Każdy z nas był też posiadaczem osobistego pamiętnika. W pamiętniku takim każdy – każdemu przyrzekał wieczną przyjaźń, wierność i pamięć po grobową deskę, z czego, jak wiemy, niewiele pozostało. Niektóre pamiętniki były istnymi arcydziełami ozdobionymi pięknymi rysunkami.

Ale były też nie zawsze mądre dowcipy, które nie mogły zyskiwać aprobaty ze strony starszego pokolenia. Dosyć powszechną zabawą w naszej grupie była gra w „bibra”.

Sprawa polegała na tym, że dwóch idących ulicą uczestników tej zabawy wypatrywało osoby mające brodę. Kto pierwszy zauważył taką osobę, krzyczał „biber” i miał zaliczone punkty: za brodę rudą – 5 pkt., za brodę siwą – 3 pkt., za brodę czarną – 2 pkt. Zdarzało się, że nie można było ustalić, z jaką brodą mamy do czynienia. Rozwiązaniem było tylko podejście do danej osoby z zapytaniem, jaką ma brodę. Oczywiście reakcja osób pytanych była różna – od wesołego śmiechu do gniewnego oburzenia i obrzucenia nas wywiskami.

Inną formą stosowanej niekiedy zabawy było ustawienie się całej grupy pod kioskiem w celu zakupu papierosów. Dowcip polegał na tym, że każdy z nas kupował jednego papierosa, natomiast ostatni w ogonku pudełko zapalek (papierosy sprzedawane były wówczas luzem, na sztuki). O irytacji sprzedawcy po przejściu kolejki takich klientów wspominał już nie będę.

Nie lepsza była sytuacja, kiedy w barze – restauracji, zamawialiśmy jedno piwo i np. 8 kufla. Po takim zamówieniu kelner strasznie się denerwował i albo zwiększaliśmy zamówienie do normalnego spożycia, albo byliśmy z lokalu wyrzucani z odpowiednimi epitetami. Oczywiście był to margines naszej działalności, ale był!

Życiem politycznym grupa nasza specjalnie się nie interesowała, chociaż z biegiem czasu u poszczególnych kolegów zaczęły zarysowywać się różne poglądy. Nasze znajome dziewczyny z reguły uczestniczyły w działalności Związku Harcerstwa Polskiego. Miały ładne mundurki, pięknie prezentowały się na pochodach i zawsze zapraszały nas na

ogniska będące dużą atrakcją. Niektórzy chłopcy byli członkami Związku Walki Młodych, nosili białe koszule i czerwone krawaty. Sympatykiem tego związku był mój serdeczny kolega Tadeusz Łazowski. Ja sympatyzowałem w tym czasie z organizacją młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Nosiliśmy niebieskie koszule i czerwone krawaty. Wszystkie organizacje działające na terenie miasta brały udział w odbywających się pochodach 1 i 3 Maja, obchodzonego Winobranii, powitaniu marszałka Polski Roliżymierskiego oraz innych uroczystościach patriotycznych i akademiach, jakie organizowały władze miasta.

Były więc to lata, kiedy dorastałem fizycznie i coraz bardziej zaczynałem rozumieć otaczającą mnie rzeczywistość. Szczególnie dużo wysiłku w moją edukację życiową i polityczną wkładał właśnie, pozostający do dziś moim przyjacielem, Tadeusz Łazowski. To właśnie On, jako najbardziej wykształcony ogólnie i politycznie, wykazywał beznadziejność mojego dotychczasowego życia i usilnie namawiał, żebym zaczął coś ze sobą robić. Ale w jego domu lubiłem przebywać i z tego powodu, że miał on starszą od nas siostrę Janinę, w której skrycie się podkochiwałem. Jednak jej zainteresowania skierowane były ku bardziej poważnemu konkurentowi – Józefowi Bobrowskiemu, za którego wkrótce wyszła za mąż. Ponieważ uważany on był w tym czasie za syna kułaka, więc Urząd Bezpieczeństwa uznał w późniejszym czasie za konieczne, aby przeprowadzić ze mną – jako przyjacielem domu – na ten temat stosowną rozmowę. Była to dla mnie rozmowa bardzo nieprzyjemna.

cdn.

Z Kazimierzem Malickim, pionierem zielonogórskiego księgarstwa, autorem słuchowisk radiowych i prozaikiem, rozmawia Grzegorz Chmielewski.

Przyjaźń z książką

Janek, bohater Twojej powieści „Ucieczka w jutro”, opuścił rodzinne miasto i schronił się na Ziemiach Odzyskanych, aby uniknąć szykan za przynależność do AK. Domyślam się, że jest to motyw autobiograficzny.

Istotnie, byłem akowcem, lecz nie konspirowałem po wyzwoleniu. Przygodny i mało wiarygodny informator ostrzegł mnie, że grozi mi aresztowanie. Przyspieszyło to moją decyzję wyjazdu na Ziemię Zachodnią. Pochodzę z Pomorza, gdzie dążenie do powrotu na ziemię nadodrzańską ma odległe tradycje i gdzie ojcowie przekazywali dzieciom wiedzę o polskości Warmii i Mazur, Śląska i Ziemi Lubuskiej. Sądzę teraz, po latach, że to przede wszystkim zdecydowało o moim wyjeździe z Inowrocławia na Ziemię Zachodnią.

Po wywiezieniu w listopadzie 1939 r. na roboty przymusowe w okolicy Wałcza zetknąłem się z miejscową ludnością, obywatelami Niemiec, którzy w tajemnicy wspominali o swoim polskim pochodzeniu, opowiadali o kamieniach granicznych

przed pierwszym rozbiorem. Spotkałem też staruszkę, Niemkę, którą w 1921 r. optował na rzecz Rzeszy i wyjechał z córką ze Świecia nad Wisłę. Starzec tęsknił za rodzinnymi stronami, twierdził, że wśród Niemców czuje się obco i po kilku wizytach kazał córce zagrać dla nas na pianinie „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Były to jednak spotkania wyjątkowe, bo miejscowi Niemcy usiłowali z zasady przekonywać nas, w prosty sposób, o dziejowej, gospodarczej i kulturalnej misji Niemiec na Wschodzie i o germańskiej przeszłości ziem aż do Wisły. Pamiętam oglupiała mnie „mojego” bauera, kiedy przy porządkowaniu strychu znalazłem stary niemiecki atlas i pokazałem mu mapę przedrozbiorowej Polski z Wałczem, Trzcianką i innymi miastami, które uważał za praniemieckie. Po kilku miesiącach pobytu w Eichfier (obecnie Wołowe Lasy) zdążyłem zyskać u Niemców pogardliwe dla nich przezwisko „Polenköning”. Zwolniony z robót, po przebytej chorobie, postanowiłem wrócić na te ziemie po wojnie.

Co zdecydowało, że wybrałeś Zieloną Górę?

Z Inowrocławia wyjechałem pod koniec maja 1945 r. z kolegą Wojciechem Kotasem i jego ojcem Bolesławem. Pierwszym etapem naszej podróży na zachód był Poznań. Tu w Polskim Związku Zachodnim uzyskaliśmy zaświadczenia upoważniające do bezpłatnych przejazdów koleją na obszarze Ziemi Zachodnich; równocześnie poinformowano nas, że najmniej kłopotów sprawi nam dojazd do Gorzowa (nazywanego po wyzwoleniu Kobylgórą lub Kobylą Górą) z przesiadką w Krzyżu.

Rekonesans gorzowski nie wypadł jednak pomyślnie. Śródmieście miasta było zburzone, Polaków niewielu, ożywiony podczas dnia ruch na ulicach nocą całkowicie zamierał, słysząc było jedynie krzyki i częste serie z erkaemów. Po dwóch nocach spędzonych w Gorzowie wróciliśmy do Poznania. Tu dowiedzieliśmy się, że uruchomiono pociągi osobowe do Zielonej Góry, miasta za Odrą. Po uzupełnieniu niezbędnego prowiantu, ruszyliśmy w drogę. Do Zielonej Góry przyjechaliśmy w nocy, życzliwie przyjęci w położonym blisko dworca budynku PCK. Miasto sprawiało miłe wrażenie. Liczne wille w ogródkach tonęły w zieleni drzew, jedyne ślady wojny to dwa wypalone budynki w rynku i dwa-trzy dalsze w ulicach przyległych. Zdecydowałem zostać tu, przynajmniej na jakiś czas.

Do Zielonej Góry przyjechałeś w pierwszych dniach czerwca 1945 r., gdy w ratuszu urzędował jeszcze, z nadania rosyjskiego komendanta, niemiecki burmistrz, co było punktem oparcia dla napływających do miasta osadników?

W mieście działała od początku maja Grupa Operacyjna Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Do jej zadań należało przejmowanie od wojska, ewidencjonowanie i zabezpieczanie poniemieckich fabryk, warsztatów, sklepów i magazynów, jak również wyszukiwanie rozwłoczonych przez uciekających Niemców maszyn i półfabrykatów. Grupa Operacyjna rejestrowała ponadto fachowców spośród Polaków i Niemców, przydzielała osadnikom warsztaty i sklepy. Mieściła się w budynku obecnego hotelu „Śródmiejskiego”. Pełnomocnik KERM, inż. Kazimierz Paszyński, powierzył mi funkcję zastępcy skarbnika. W Grupie Operacyjnej pracowali już m.in. Mieczysław Turski, Grażyna Karowska i Alfons Bogaczyk. Do zamieszkania w mieście wymagana była jednak zgoda komendantury wojennej, a lokal przydzielał „obman”, niemiecki zawiadowca mieszkań.

Wkrótce, bo 6 czerwca 1945 r., władzę w mieście przejęła administracja polska z burmistrzem Tadeuszem Sobkowiakiem, a po zorganizowaniu starostwa powiatowego Grupa Operacyjna KERM została rozwiązana. Mogłem teraz przejść do Urzędu Miejskiego, starostwa lub uzyskać przydział sklepu albo warsztatu. Ku zaskoczeniu inż. K. Paszyńskiego wystąpiłem o przydział księgarni przy ul. Pocztowej, lokalu zajmowanego do niedawna przez księgarnię muzyczną („pod filarami”). Zwrócił on uwagę, że przecież tam nie ma żadnego wartościowego towaru. Nie zmieniłem jednak zdania. Do jeszcze czynnej księgarni „pod filarami” zaszedłem już pierwszego dnia mojego pobytu w Zielonej Górze. Zainteresowałem się wystawioną w witrynie, liczącą ponad 1000 stron druku, monografią Zielonej Góry „Geschichte der Stadt Grünberg” H. Schmidta. Wertując księgę natrafiłem na liczne informacje o polskich tra-

dycjach miasta i podzielonogórskich wsi znajdujących wyraz w takich nazwach jak „Piastenhöhe”, Sawade, Saabor czy Droschkau. Wśród ilustracji zamieszczonych w monografii znalazłem rycinę polsko-ewangelickiego kościoła św. Trójcy, nazywanego stale przez Schmidta kościołem polskim. Po dojściu do władzy hitlerowców książka została ocenzurowana: usunięto z niej rozdziały dotyczące wydarzeń rewolucyjnych w 1848 i 1918 r.

Niemiecki księgarz odmówił sprzedaży książki tłumacząc, że to ostatni egzemplarz, już zarezerwowany dla klienta. Zapewnił jednak, że jak sytuacja się unormuje, to sprowadzi dalsze egzemplarze z Lipska. Gotów jest wysłać książkę za pobraniem pocztowym, prosi w związku z tym o wskazanie adresu. Zanotowałem imię i nazwisko, a gdy podałem nazwę miasta „Zielona Góra”, prosił o jej przeliterowanie i poinformowanie, gdzie miejscowość się znajduje. Gdy się dowiedział, że tym miastem jest „Grünberg”, twarz mu stężała i przestał notować.

Twoja ówczesna decyzja prowadzenia księgarni posiadała niewątpliwie głębsze uzasadnienie, wiem, że już przed wojną interesowałeś się książką, literaturą, a nawet opublikowałeś kilka wierszy.

Zawsze, o ile tylko okoliczności na to pozwalały, dużo czytałem, byłem stałym bywalcem bibliotek i księgarni. Jeszcze przed maturą, którą zdawałem w 1938 r. jako eksternista, opublikowałem wiersz w „Piaście”, tygodniowym dodatku społeczno-kulturalnym „Dziennika Kujawskiego”. Jednak wcześniej nigdy nie przypuszczałem, że swój los zwiążę z księgarstwem, jak również, że na stałe osiadę w Zielonej Górze. Ostatecznie zdecydowałem się objąć księgarnię po wspomnianej rozmowie z niemieckim księgarzem. Postanowiłem, że w tej właśnie księgarni znajdą się wkrótce polskie książki.

Jednak niełatwo było początkowo wypełnić nimi półki pustych regałów. Niewiele zastałem w księgarni: dwa tysiące niemieckich widokówek Zielonej Góry, trochę tabliczek szkolnych i rysików, pewną ilość planów miasta i okolic, parę tuzinów ołówków i trochę zeszytów. Wśród małowartościowych książek niemieckich znalazłem wspomnianą monografię H. Schmidta.

Dochód z widokówek i planów miasta umożliwiał mi nabywanie dostarczanych przez przypadkowych sprzedawców artykułów papierniczych i – zresztą w małej ilości – polskich książek. Pamiętam, że nabyłem m.in. kilkanaście pozycji z wydawanej przed wojną przez R. Wegenera w Poznaniu „Biblioteki Laureatów Nobla”. Ludzie spragnieni byli polskiej książki i na każdy zdobyty egzemplarz znajdowało się kilkadziesiąt chętnych. Każdy szczęśliwiec musiał zobowiązać się, że po przeczytaniu książki wypożyczy ją innym. Mimo męczących wypraw do Poznania i Łodzi, zasoby książek powiększały się powoli. Zasobniejsi koledzy uruchomili przy księgarniach wypożyczalnie książek, które cieszyły się ogromnym powodzeniem. Uparcie operuję określeniem „księgarnia”, chociaż prawdę mówiąc były to w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny raczej sklepy artykułów papierniczych z kilkoma półkami książek, nie wspominając o innych towarach prowadzonych dla podniesienia rentowności „księgarni”. Nie mogąc zaspokoić niewielką ilością książek głodu słowa drukowanego, wprowadziłem do sprzedaży gazety i czasopisma, których wychodziło coraz więcej. Klientów było mnóstwo, ale wiązało się z tym odsyłanie zwrotów, rozliczenia oraz otwieranie księgarni w niedziele i święta.

Czy pamiętasz, jakie tytuły periodyków cieszyły się szczególną popytnością?

Z tygodników największym powodzeniem cieszył się „Przekrój”, rozprowadzany w ilości 400 egz., następnie magazyn „Żołnierz Polski”, „Szpilki” oraz „Kobieta i Życie”. Gazet różnych kierunków politycznych sprzedawaliśmy dziennie ponad tysiąc egzemplarzy, natomiast czasopism literackich i kulturalnych po kilkadziesiąt egzemplarzy. Nawet zwroty poważnych miesięczników były niewielkie.

Co było powodem, że po niedługim czasie przekazałeś księgarnię Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”?

Gdzieś pod koniec 1946 r. zorientowałem się, że uzyskana gotówka ze sprzedaży materiałów papierniczych – istotnego asortymentu w moich obrotach – nie wystarcza na zakup takiej samej partii towaru w dniu następnym, bowiem artykuły te stale drożały. Mimo dużych obrotów rosło moje zadłużenie w banku, a towarów nie przybywało. Między innymi dlatego przyjąłem chętnie w 1947 r. propozycję SW „Wiedza” przekazania jej księgarni i objęcia posady kierownika.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wypełniły się wszystkie półki książkami. Nowości „Wiedzy” otrzymywałem tranzytem z drukarni na podstawie stałego rozdzielnika, uzupełnienie – w drodze dodatkowych zamówień. Książki innych wydawnictw otrzymywaliśmy również bez ograniczeń za pośrednictwem naszej centrali w Warszawie. Oprócz sprzedaży detalicznej mieliśmy prawo sprzedaży książek innym księgarniom z rabatem hurtowym, ponadto kontynuowaliśmy kolportaż czasopism i sprzedaż materiałów papierniczych. Ta różnorodność form działania powodowała powstanie skomplikowanej sprawozdawczości. Obsada księgarni, jak na ówczesne warunki w księgarstwie, była jednak duża: oprócz kasjerki zatrudniałem trzech sprzedawców oraz gońca. Mogliśmy więc z dużym powodzeniem prowadzić sprzedaż uliczną, kolportaż i loterię książkową. Nasza księgarnia była w tym czasie jedyną społeczną placówką nie tylko w Zielonej Górze, ale i w sąsiednich powiatach. Nakładało to na nas liczne i trudne obowiązki. W czasie Winobrania w 1948 r. zobowiązaliśmy się np. do zorganizowania 10 stoisk książkowych w różnych punktach miasta i sprzedaży 5 tysięcy losów loterii książkowej. Do dziś pamiętam żmudne przygotowywanie tych losów, od czego drętwiały palce u rąk. Łza jednak kręci się w oku na wspomnienie licznych ówczesznie przyjaciół książki, którzy pomagali czynnie w jej upowszechnianiu. W winobraniowym kiernaszu w 1948 r. pomogła nam młodzież ze Związku Walki Młodych oraz członkinie Ligi Kobiet. Pobrali książki i ponieśli ciężkie paczki na stoiska rozstawione w śródmieściu i na peryferiach miasta. W rezultacie kiernasz spełnił swoje zadanie, o czym może poświadczyć fakt, że losy rozchwytały w ciągu kilku godzin. Niemalże kłopoty miałem jednak ze zwiezieniem sprzętu, wypożyczonego ze szkół, gdyż zamówiony woźnica – mechanicznych środków lokomocji oczywiście nie mieliśmy – nadmiernie uczył Bachusa, a zastępca również był wyznawcą tego bożka.

Mówiłeś o wielokierunkowej działalności księgarni „Wiedzy”, nie wspomniałeś jednak o tym, że przecież przy księgarni czynna była również wypożyczalnia książek.

Już w 1945 r. w Zielonej Górze powstały komercyjne wypożyczalnie książek przy księgarniach A. Bogaczyka, przy ul. S. Żeromskiego i W. Rodowicza, przy ul. K. Marksa (obecnie Pocztowa), ponadto dość dobrze zaopatrzoną wypożyczalnię

(bez księgarni) prowadziła nieznana mi z imienia Fiedorowicz, przy ul. Kupieckiej. Księgarnia A. Bogaczyka w początku 1948 r. uległa pożarowi, a W. Rodowicza została zamknięta. W związku z osobą tego ostatniego pozwolę sobie na dygresję.

Na Ziemię Zachodnie oprócz uczciwych osadników ścigały też spore zastępy kombinatorów, aferzystów, szabrowników i osobników o zbrodniczej lub mocno zaszarganej przeszłości okupacyjnej. Jedni z nich chcieli tylko ukryć się, przycupnąć na byle jakiej posiadce, nie rzucać się nikomu w oczy, drudzy zagrali *va banque* i przez zajęcie eksponowanych stanowisk zamierzali uniknąć sprawiedliwości. Do tych ostatnich należał W. Rodowicz. Otworzył księgarnię z wypożyczalnią, a następnie objął kilka ważnych stanowisk we władzach miasta i kilka istotnych funkcji społecznych. Wprawdzie niektórzy repatrianci z Wilna przebąkaliwali o jego kolaboracji z Niemcami w charakterze konfidenta, ale kilkakrotnie podejmowane próby zdemaskowania go wobec władz spełzły początkowo na niczym. Wreszcie bomba wybuchła: Rodowicz został aresztowany, a wytoczony mu proces zakończył się... wyrokiem uniewinniającym. Jednak rezultat wznowionego procesu w Warszawie był zupełnie inny i Rodowicz został skazany na 10 lat więzienia.

Ponieważ utworzona w 1947 r. wypożyczalnia Biblioteki Miejskiej dysponowała niewielkim księgozbiorem, a z wypożyczalni komercyjnych pozostała jedynie wypożyczalnia Fiedorowicz, istniało duże zapotrzebowanie na tę formę udostępniania książki w kręgu jej zielonogórskich odbiorców. W 1948 r. zlikwidowałem sprzedaż czasopism – punktów ich kolportażu było już wiele – i w zamian zorganizowałem w księgarni wypożyczalnię książek. Ze względu na szybkie udostępnianie nowości i brak większej konkurencji – wypożyczalnia cieszyła się dużym powodzeniem. Początkowo udostępniała czytelnikom 300 oprawnych tomów, a do końca 1948 r. jej zasoby wzrosły do 1200 tomów. Wypożyczalnia pozyskała ponad 300 czytelników, którzy optacali miesięczny abonament, a w chwili rejestrowania się wpłacali zwrotną kaucję. Po połączeniu 1 stycznia 1949 r. SW „Wiedza” z SW „Książka” księgarnia przestała wypożyczać książki, gdyż kierownictwo SW „Książka i Wiedza” nie zezwoliło na łączenie sprzedaży książek z prowadzeniem wypożyczalni.

Prowadzone przez pionierów księgarnie i wypożyczalnie książek dobrze wypełniły rolę dystrybutorów i popularyzatorów książki polskiej w tym najtrudniejszym okresie repolonizacji miasta. Jeszcze w 1948 r. księgozbiór Biblioteki Miejskiej, liczący zaledwie 615 wol., był o połowę mniejszy niż zbiór książek zgromadzony w utworzonej przez Ciebie wypożyczalni. Jakże jednak były dalsze losy księgarni, którą kierowałeś?

30 grudnia 1949 r., jako przedstawiciel powiatu zielonogórskiego, wziąłem udział w naradzie zorganizowanej w Warszawie, na której poinformowano księgarzy o utworzeniu z dniem 1 stycznia 1950 r. „Domu Książki Polskiej” – jednolitej, państwowej sieci księgarskiej, mającej przejąć wszystkie placówki spółdzielcze i poszczególnych wydawnictw. Po koszmarnym remanencie, trwającym ponad trzy tygodnie, do otwartych księgarni „Domu Książki” zaczęły napływać książki, prawdziwy potop książek. Rozpoczęła się era księgarstwa „Domu Książki” w nowo utworzonym w 1950 r. województwie zielonogórskim.

Rozmowa z panią Stanisławą Patecką

Koleje losu

Przeprowadzając rozmowę z panią Stanisławą Patecką, słuchając wspomnień z jej dzieciństwa, młodości, opowieści o wojennej Zielonej Górze, żałowałam, że wszystko muszę notować, bo najchętniej podparłabym głowę rękoma i z największą przyjemnością oddałabym się tylko słuchaniu.

Ponieważ dla każdego człowieka jego „korzenie”, pochodzenie są bardzo ważne, są też zawsze początkiem jakiegoś istnienia, zatem i nasza rozmowa zaczęła się od wspomnień o przodkach pani Pateckiej.

Stanisława Patecka: – Dziadkowie moi mieszkali pod zaborem pruskim w miejscowości Żerków koło Jarocina. Ponieważ w domu dziadków nie przelewało się, więc dziadek wyjechał do Niemiec. Tam dostał pracę w kopalni, w miejscowości Hamborn koło Duisburga. Moja mama, będąc jeszcze panienką, również wyjechała do Niemiec, by gospodarzyć dziadkowi; potem dojechała do nich najstarszy z braci mojej mamy, czyli mój wuj. W Niemczech mama poznała swojego przyszłego męża – Polaka, pana Niedzielskiego i w 1911 roku wyszła za mąż.



Dziadkowie p. S. Pateckiej, z lewej mama pani Stanisławy.

Małgorzata Twarowska: – Więc urodziła się Pani w Niemczech?

S.P.: – Tak, w Hamborn rok po ślubie rodziców. Byłam najstarszym dzieckiem, moja młodsza o 10 lat siostra urodziła się już w Polsce. Dziś już, niestety, nie żyje.

M.T.: – Czy w Niemczech uczęszczała Pani do szkoły?

S.P.: – W Niemczech przebywałam do siódmego roku życia, więc do szkoły podstawowej chodziłam przez rok. W tym czasie moja mama gromadziła polskie dzieci w wieku 6-7 lat i uczyła je pisać i czytać. Szkołę podstawową, sześć klas i siódmej dwa miesiące, skończyłam w Polsce, kiedy wróciliśmy do Żerkowa.

M.T.: – Jakiś czas przebywała Pani również we Francji.

S.P.: – Tak, najpierw do Francji wyjechał ojciec. Było to w latach 20-30., kiedy w Polsce był kryzys, a ojciec został bez pracy. Pracę we Francji ojciec otrzymał w Lens. Po pięciu latach dojeżdżałyśmy z mamą i siostrą. Ja miałam wtedy 12 lat, a siostra 2 lata.

M.T.: – Jak wspomina Pani pobyt we Francji? Czy miała Pani tam koleżanki? Czy chodziła Pani do szkoły?

S.P.: – Na początku bardzo się wstydziłam, często przebywałam sama, nie znałam języka francuskiego, więc nie mogłam się z nikim zapoznać. Moja siostra za to radziła sobie całkiem dobrze, bo nie rozumiejąc francuskich rówieśniczek po prostu je biła. Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, to poznałam kilka dziewcząt, które

przychodziły do mnie i to one nauczyły mnie trochę języka francuskiego. Do szkoły chodziłam niecały rok.

M.T.: – Kolejnym etapem w Pani życiu był przyjazd do Polski i rozpoczęcie nauki w seminarium nauczycielskim w Inowrocławiu. Dlaczego właśnie tam?

S.P.: – Będąc jeszcze we Francji poznałam polskiego księdza (nie pamiętam nazwiska), który skontaktował mnie właśnie z tym seminarium w Inowrocławiu. Przez jakiś czas, mając naście lat, korespondowałam z tą szkołą. W Lens wychodziła polska gazeta „Narodowiec”, którą my czytaliśmy. Któregoś razu ukazało się w niej ogłoszenie, że jest organizowany wyjazd do Polski dzieci po szkole podstawowej, aby mogły kształcić się dalej w szkołach średnich. Moja mama zgłosiła mnie. Do Warszawy przyjechaliśmy grupą około pięćdziesięcioosobową. Tam nastąpił przydział po różnych szkołach średnich. Dyrektorka seminarium w Inowrocławiu, pani Zofia Swinarska, będąc poinformowaną o naszym przyjeździe, zadzwoniła do Warszawy, aby przydzielono mnie do jej szkoły.

Przypomniała mi się jeszcze jedna rzecz. Otóż kiedyś, już po latach, czytałam książkę Kaziowa „Gdy moim oczom” i dowiedziałam się, że autorka tej książki do egzaminów na studia przygotowywała właśnie pani Zofia Swinarska. Było mi więc ogromnie miło, że to była właśnie dyrektorka mojej szkoły.

M.T.: – Jak wspomina Pani szkołę z internatem w Inowrocławiu?

S.P.: – To był wspaniały okres w moim życiu. Zaczęłam od tego, że jako emigrantka wszystko miałam bezpłatnie: szkołę, internat, wyżywienie, wszystko poza rzeczami osobistymi i książkami. To szkoła wychowywała nas. Uczyli nas dobrych manier, co później było dla nas tak naturalne, że aż raziło, kiedy inni przypadkowo napotkali ludzie, do tych manier się nie stosowali. Pamiętam, że codziennie rano i wieczorem obowiązkowo trzeba było być na pacierzu, codziennie też była msza święta, ale już nieobowiązkowa. Na godzinę również trzeba było wstawać i kłaść się spać. Do miasta nie wolno było wychodzić samemu, tylko raz w tygodniu na dwie godziny. Zazwyczaj chodziliśmy na zorganizowane spacerki do Solanek – rzadkiem pod opieką.

M.T.: – Jakie były ulubione Pani przedmioty?

S.P.: – Bardzo lubiłam śpiew, historię, geografię, roboty ręczne i gimnastykę. Pozostałe przedmioty zaliczałam na dobry.

M.T.: – Czy zawiązały się wówczas jakieś szczególne przyjaźnie?

S.P.: – Tak. Mam nawet pamiętnik z tamtych lat, do którego wpisywały się moje koleżanki. Proszę zobaczyć...

M.T.: – To pięcioletnie seminarium kończyło się maturą?

S.P.: – Tak. Maturę zdawałam w 1933 r., akurat w roku, w którym moi rodzice wrócili z Francji i przyjechali do Poznania.

M.T.: – Trzy lata po maturze wychodzi Pani za mąż. Jak poznała Pani swojego męża?

S.P.: – Z mężem chodziłam do jednej klasy w szkole podstawowej. Po latach spotkaliśmy się przypadkiem i odnowiliśmy znajomość. Narzeczeństwem byliśmy ponad rok. Po ślubie zamieszkaliśmy w Poznaniu przy ulicy Polnej, gdzie rok później przyszło na świat nasze pierwsze dziecko – córka Irenka.

M.T.: – W jakich warunkach mieszkaliście Państwo na Polnej?

S.P.: – Było całkiem przytulnie, mieliśmy dwa pokoje, kuchnię, łazienkę.

M.T.: – Czym zajmował się Pani mąż?

S.P.: – Mąż pracował wówczas jako fotograf w firmie fotograficznej Markiewicza, która obsługiwała między innymi operę (dla

tego mąż tak dobrze zorientowany jest w operach). Później pracował w wytwórni płyt fotograficznych. Chciał otworzyć w Poznaniu swój zakład fotograficzny, ale nie mógł znaleźć pomieszczenia. Wyjechał więc do Gdyni i przy ulicy 10 lutego otworzył własny zakład, który prowadził aż do wybuchu wojny.

M.T.: – W jakim momencie Waszego życia zaskoczyła Was wojna?

S.P.: – W sierpniu 1939 r. nasza 2-letnia córka Irenka przebywała u babci w Poznaniu, a ja wraz z mężem mieszkaliśmy w Gdyni. Mąż jednak zdecydował, żebyśmy pojechali do Poznania i przywiozła córkę do Gdyni. 30 sierpnia wyjechałam bezpośrednim autobusem z Gdyni do Poznania. Noc z 31 sierpnia na 1 września spędziłam u rodziców, a nad ranem wybuchła wojna. Ja wraz z córką byłam więc w Poznaniu, a mąż sam w Gdyni. Z mężem i w ogóle z Gdynią nie miałam żadnego kontaktu przez pół roku. Po tym czasie ktoś dostarczył mi kartkę, że wszystko nam zabrali, zapłombowali nasze mieszkanie i niczego nie możemy wziąć. Męża gdzieś wywieźli, chyba do Królewca. Po ponad roku udało mu się uciec. Wiedział, że możemy być tylko w Żerkowie i tam nas odnalazł. W jednym pokoju w Żerkowie przeżyliśmy wojnę.

M.T.: – Czy mąż fotografował w czasie wojny?

S.P.: – Tak. Mąż dostał pozwolenie od Niemców na fotografowanie. Czasem zdarzały się zabawne historie. Kiedyś przyszedł do nas Niemiec i chciał zrobić sobie zdjęcie do dokumentu. Mąż, znając słabo niemiecki, zapytał go, czy chce zdjęcie z głową czy bez, zamiast: z nakryciem głowy czy bez. Mama usłyszawszy to szybko wyszła i wyjaśniła całą sprawę mówiąc, że zięć słabo zna niemiecki.

M.T.: – W 1945 r. przyjechaliście Państwo z czwórką dzieci do Zielonej Góry. Co wpłynęło na taką decyzję?

S.P.: – Na przyjazd akurat tutaj namówił nas znajomy, Florian Matysiak, który pracował w Zielonej Górze w wytwórni win. Powiedział nam, że Zielona Góra nie jest tak bardzo zniszczona i że można dostać tu mieszkanie.

M.T.: – Byliście Państwo pierwszymi właścicielami kina „Nysa”.

S.P.: – Wówczas był to „Ostlandhaus”. Nową nazwę dla kina, którą napisaliśmy na zwykłej desce, wymyśliłam sama i nieprawdą jest, że wówczas nazywano je „Nisa”.

M.T.: – Na jakiej zasadzie zarządzaliście Państwo „Nysą”? Czy była to własność, czy dzierżawa?

S.P.: – Dziś trudno to jednoznacznie określić. Nie była to ani własność, ani dzierżawa. Mąż chciał, żeby to była własność. Kinem zarządzaliśmy niecały rok, po czym przeszło na własność państwa. Najpierw podlegało pod Poznań, potem pod Wrocław.

M.T.: – Czy pamięta Pani pierwszy film, który wyświetlony został w „Nysie”?

S.P.: – Pierwszego filmu nie pamiętam. Pamiętam tylko tyle, że kiedy mąż przywiózł jakiś film z Wrocławia, nowo zatrudniony operator zle go założył i projekcja filmu rozpoczęła się od końca. Po tym incydencie zatrudniliśmy operatora Niemca, który wcześniej tam pracował.

M.T.: – Po tym, jak straciliście Państwo kino „Nysa”, mąż Pani otworzył pierwszy w Zielonej Górze zakład fotograficzny.

S.P.: – Tak. Zakład mieścił się przy ul. Żeromskiego, gdzie dzisiaj jest drogeria. Miał ogromne okno wystawowe, a wejście było od podwórza, z drugiej strony. Ponieważ jednak oboje byliśmy bezpartyjni, szybko więc odebrano to dobre miejsce w centrum miasta. W tym czasie powstał drugi zakład fotograficzny – pana Mierzejewskiego. Mąż został jego pracownikiem. Potem pracował jeszcze w różnych przedsiębiorstwach.

M.T.: – Czy zachowały się do dzisiaj jakieś negatywy lub zdjęcia powojennej Zielonej Góry?

S.P.: – Mieliśmy kiedyś ich dużo, jednak do Jnia dzisiejszego nic nie zostało. Wszystko spłonęło w pożarze, który wybuchł w księgarni Bogaczyka. Nasz zakład połączony był z jego księgarnią, więc ogień łatwo się przedostał i strawił dosłownie wszystko. Mąż z kolegą w nocy wybiegli z domów i próbowali coś ratować. Wynieśli tylko aparat. Kolega męża, będąc w środku, nie mógł trafić do wyjścia, więc mąż krzyknął, żeby wybił okno wystawowe i wyszedł przez nie.

M.T.: – Gdzie w Zielonej Górze było pierwsze Państwa mieszkanie?

S.P.: – Pierwsze i ostatnie, bo mieszkamy w nim do dzisiaj. Został przydzielony nam dom przy ulicy Mickiewicza tam, gdzie jest teraz kawiarnia „Niger”. Później w „Nigerze” był sklep z kwiatami, własność ogrodnika Żurawskiego. My mieliśmy w tym domu dwa mieszkania. Kiedy mąż spotkał znajomego z Żerkowa, który w czasie wojny pracując w sklepie spożywczym bardzo nam pomógł, mógł mu się odwdziżyć i przepisałiśmy jedno mieszkanie na niego.

M.T.: – Czy podjęła Pani pracę w swoim zawodzie?

S.P.: – Nie. Po wojnie nie poszłam uczyć do szkoły, bo chorując długo na gruźlicę po prostu się bałam. Po odebraniu nam zakładu fotograficznego zatrudniłam się w Miejskim Przedsiębiorstwie Mieszkaniowo-Budowlanym. Pracowałam tam aż do emerytury w 1972 r., najpierw w księgowości, później w planowaniu.

M.T.: – Czy ma Pani jakieś zainteresowania?



Rodzina pp. Pateckich, pani Stanisława i pan Marian Patecki z dziećmi.

S.P.: – Bardzo dużo czytam. Kiedyś haftowałam, ale teraz nie mam już tyle cierpliwości. Raz nawet moje prace wystawione były w „Sali Wspomnień”.

M.T.: – Mąż Pani natomiast lubił malować. Czy dzisiaj zdarza mu się sięgnąć czasem po pędzel?

S.P.: – Mąż już nie maluje, bo ma słaby wzrok. Ale kiedyś lubił bardzo to robić. Zazwyczaj malował pejzaże. Za „Panoramę Zielonej Góry” otrzymał nagrodę. Część jego prac jest sprzedana, część mamy u siebie w domu.

M.T.: – Czy prace męża można było oglądać na wystawach?

S.P.: – Tak, wystawiał swoje obrazy w WiMBP, Empiku, pałacu w Żaganiu, kilka razy w czasie wystaw zbiorowych w plenerze.

M.T.: – Macie Państwo czworo dzieci – dwie córki i dwóch synów. Czy mogłaby Pani króciutko powiedzieć, jak potoczyły się ich losy?

S.P.: – Troje dzieci ma wyższe wykształcenie, jedna córka, która chorowała na gościec, musiała zakończyć edukację na szkole średniej. Troje z dzieci mieszka w Zielonej Górze, a syn – absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Toruniu – opiekuje się i mieszka we dworku w Przybyszowie koło Ślawy. Wszyscy mają już swoje rodziny, a ja zostałam babcią sześciorga wnucząt i ośmiorga prawnucząt.

M.T.: – Czy mogłaby Pani powiedzieć, że jesteście Państwo udanym małżeństwem?

S.P.: – Jesteśmy już razem 64 lata. Owszem, jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, choć czasem zdarzały się gorzkie chwile, ale tak jest chyba w każdym małżeństwie.

M.T.: – Dziękuję Pani za rozmowę.

Małgorzata Twarowska



Wspomnienia i relacje

W Zielonej Górze przed pięćdziesięciu laty

cd.

„Jest na zachodzie jedna wielka dziura Zielona Góra”, od tych słów zaczynała się pierwsza piosenka poświęcona temu miastu. Śpiewana powszechnie przez napływające w 1945 r. coraz liczniejsze rzesze przesiedleńców. Mimo pewnej dozy satyry w sposób serdeczny opiewała ów określony z nieco napszoną przesadą „gród winnic”, z którego nową kartą w jego dziejach nadciągające grupy pionierów wiązały swe powojenne nadzieje i przyszłe życie.

Jednak, chociaż niemal z każdym dniem pogłębiał się sentyment do „swego” miasta z racji jego uroczego położenia radującego oczy, mnóstwa zieleni, malowniczości staromiejskich uliczek i zaułków, górującą ponad dachami kamieniczek wieżą ratuszową, fakt pozostawał faktem, że ówczesna Zielona Góra stanowiła miasto nieduże, a pod względem urbanistycznym wielce zaniedbane.

Przed stacją kolejową witały przyjezdnych barwne rabaty kwiatów i bujna zieleń skwerków. Większość przyjezdnych skracała sobie drogę do śródmieścia skracając w wąską ścieżkę okoloną strzelistymi topolami, stąd zwaną ulicą Topolową. Wiła się między parkami ogrodów i sadów, i dwóch kortów tenisowych. Dopiero w swej końcowej części przechodziła w regularną uliczkę, ograniczoną z jednej strony szarymi kamienicami czynszowymi, a z drugiej zaś rozległymi szklarniami ogrodników.

Obecnie po generalnej przebudowie i rozbudowie biegnie tu jedna z głównych arterii komunikacyjnych Zielonej Góry, ulica Bohaterów Westerplatte. Miejsce szklarni zajął budynek „Ruchu”, restauracja „Topaz”, „Centrum” i dalej gmach dawniejszego Komitetu PZPR. Na prawo do narożnika ciągnęła się ulica zwana wówczas ku chwale pierwszych osadników miasta Pionierską. Stary Rynek na dwóch narożnikach naprzeciwko ratusza szpeciły wypalone obiekty zasfalowane deskami, przy czym zarówno rynek jak i pobliski plac Powstańców Wielkopolskich, spełniający wówczas funkcję targowiska, wybrukowane były kocimi łbami. Kamienie pokrywały też ulicę Żeromskiego – obecnie Kupiecką – i nikomu się wówczas nawet nie śniło, że po latach stanie się deptakiem stanowiącym malowniczy akcent śródmieścia. Wiele uliczek przecinały drożki, ścieżki skwerków, zaś między zabudowaniami napotykało się cembrowane studnie dostarczające mieszkańcom wody.

W przeciagu zaledwie 15 minut można było przejść przez całe śródmieście i znaleźć się niespodziewanie na peryferiach zabudowanych nielicznymi domkami w ogródkach otoczonych kurnikami, chlewikami i różnego rodzaju szopami.

Po przejściu Zielonej Góry przez władze polskie, w przeciagu zaledwie 6 miesięcy otwarto przeszło 250 sklepów różnego typu: spożywczych, galanterijnych, elektrotechnicznych,

papierniczych, perfumeryjnych, tytoniowych, pół setki sklepów z pieczywem oraz prawie tyle rzeźniczych i masarskich. Osiem cechów rzemieślniczych, cech: fryzjerski, stolarski, szewsko-cholewkarski – zrzeszały mistrzów i czeladników z 50-ciu czynnych warsztatów. Istniały także i inne.

Jako pierwsi rozpoczęli w mieście ordynowanie lekarze: dr Józef Tymiński, dr Tadeusz Serafiński – internista i jego żona Wanda – specjalista w chorobach skórnych, dr Władysław Pręgowski – neurolog, dr Józef Bieniarz – położnik, dr Oppeln, Bronkowski przyjmujący w lecznicy powiatowej oraz dr Bandurski, dr Serafińska. Równocześnie otwarto 3 apteki noszące tradycyjne godła: „Pod Koroną”, „Pod Lwem” i „Pod Orłem”.

W Zielonej Górze nie było żadnych środków publicznej komunikacji i nie odczuwało się ich braku. O ile dobrze pamiętam, pierwsze dorożki konne pojawiły się na ulicach miasta w lipcu. Wyznaczono im postoje za dnia pod ratuszem i przy placu Pocztowym, zaś wieczorem koniki rżały przed restauracją „Pod Białym Orłem”.

Gdzie w tym czasie kształtowania się nowej Zielonej Góry mieszkańcy znajdowali zatrudnienie? Otóż w szybko otwartych bankach, a to w Narodowym Banku Polskim, Banku Spółdzielczym „Społem”, Komunalnej Kasie Oszczędności, w Inspektoracie Pracy i Inspektoracie Szkolnym, Zarządzie Miejskim, w 3 młynach oraz radiowęźle. Znaczną obsadę pracowników umysłowych i fizycznych posiadały oddziały Państwowego Monopoli Spirytusowego i Tytoniowego, Państwowy Urząd Repatriacyjny, Państwowy Urząd Samochodowy, Państwowe Przedsiębiorstwo Tartaków i Maszyn Rolniczych, Państwowa Wytwórnia Win, Państwowy Zarząd Tymczasowy Ruchomości i Nieruchomości, Zakłady Graficzne, elektrownia, odlewnia żeliwa, Starostwo Powiatowe i Urząd Skarbowy. Znaczną część mieszkańców zatrudniała kolej, a gdy przystąpiono do odbudowy przemysłu, również Zastal, Polska Węla i Zakłady Szczotkarsko-Szczecińskie. Jako jedni z pierwszych znaleźli zatrudnienie członkowie załogi browaru, zwanego wówczas oficjalnie Browarem Zamkowym i Słodownią. Znaczny odsetek pracował w handlu spółdzielczym i prywatnym, w usługach i rzemiośle. W szkolnictwie kadra nauczycielska była nieliczna.

Pierwsze społeczeństwo zielonogórskie tworzyli przybysze z różnych dzielnic kraju, o rozmaitych regionalnych naleciałościach i uprzedzeniach, nierzadko pozwalający rozpoznać się specyficzną gwarą lub akcentem wymowy czy ubioru. Początkowo wszystkich separowały pewne animozje – poznańskie „Pyry” stroniły od „Zabugajów”, krakowskie „Centusie” od warszawskich „Kongresowiaków”.

Ten konglomerat osób z różnych połaci Polski reprezentujących różne klasy społeczne, przerozmaite zawody, szeroką rozpieszczonego wieku, odmienne szczeble wykształcenia, poczynając od analfabetów a kończąc na inteligentach z dyplomami wyższych uczelni, nie spodziewał się nawet, w jak szybkim tempie przeistoczy się w jednolitą społeczność zielonogórzan, zagorzałych patriotów swego nowego miejsca zamieszkania.

W miarę rozwoju stosunków i wytężonej pracy pionierów Zielona Góra stawała się miastem postępowym, wolnym od starych naleciałości oraz przeciwieństw lub wręcz antagonizmów. W tworzącym się coraz bardziej jednolitym społeczeństwie z wolna, lecz na trwałe, poczęły zanikać różnice regionalne, a miasto dorosło do rangi województwa.

Stanisław Prałat

„Kiedy myślę Ojciec”

Ileokroć jestem na koncercie Zielonogórskiej Filharmonii błądząc wzrokiem między muzykami, jakbym gdzieś wśród altówek szukała kogoś bliskiego. A może duch mojego Ojca krąży nad estradą i swoim muzycznym uchem podziwia czystość brzmienia akordów?

Sluchając pięknej muzyki polskiej w wykonaniu znakomitych filharmoników zielonogórskich na koncercie z okazji Święta Niepodległości próbowałam przenieść się w czasie i przypomnieć koncerty, jakie odbywały się w tej sali przed niemal pół wiekiem. Dzisiejszy duży zespół po części swoje miejsce w świadomości mieszkańców i melomanów zawdzięcza niewielkiej grupie ludzi, którzy niejednokrotnie z potrzeby ducha poświęcali swój czas dla stworzenia załóżka życia muzycznego w mieście.

Ojciec mój dogłębną studia muzyczne ukończył doktoratem na Uniwersytecie Poznańskim u prof. Lucjana Kamieńskiego w 1933 roku. W latach 20-tych był asystentem na tej uczelni, pisał recenzje muzyczne, wydawał swoje pierwsze utwory. Wcześniej, będąc jeszcze na studiach w Berlinie, prowadził chóry polskie w Spandau i Moabie. Pamiętam Jego cierpliwość do uczniów, którzy pobierali u Niego lekcje gry na fortepianie czy skrzypcach. Ja sama bałam się jakiegokolwiek fałszu w domowym podśpiewywaniu, wylapywał swoim wrażliwym uchem każdy zły akord.

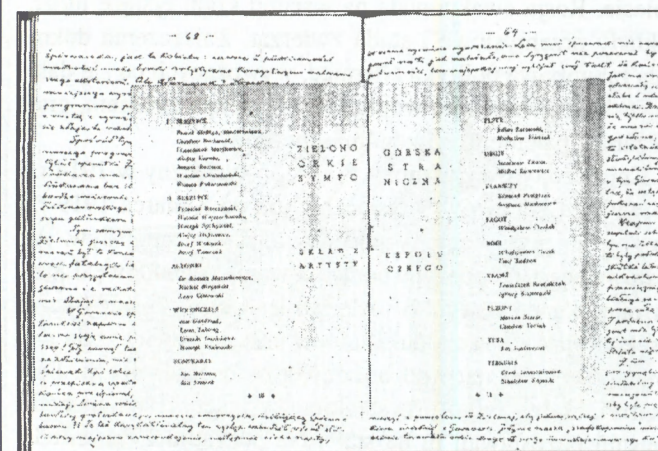
Nie sposób tu nie zacytować urywka z książki, gdzie kronikarz Roman Mazurkiewicz – pierwszy prezes Orkiestry, prelegent, muzyk i fanatyk muzyki poważnej przedstawia sytuację osobowo-instrumentalną ówczesnej Orkiestry Symfonicznej nie szczędząc pochwał i krytyki zarazem.

Pod datą 11 grudnia 1957 r. pisze:

„...Pierwszych skrzypków mamy obecnie ośmiu, z czego czworo nazwać można muzykami rutynowanymi. Druga połowa jest słabsza, lecz może z czasem się podciągnąć przy należytej pilności w ćwiczeniach domowych. W drugich skrzypcach właściwie nie ma żadnego muzyka filarowego, cała siódemka, może tylko z jednym wyjątkiem, zalicza się do miernoty, a trzech jest istotnie słabych. W altówkach jest jedna siła wybitna, drugi altowiolista zasługuje na ocenę dostateczną. Zasiaduje on między wiolami, bo pragnie koniecznie utrzymać się w Orkiestrze, której służy gorliwie od jej zarania. Trzeci jest słaby z powodu nieczystych chwytów. W wiolonczelach siedzi jeden muzyk bardzo dobry, lecz niestety nie dopisuje mu już słuch z powodu podeszłego wieku, a szkoda wielka. Pech zrzucił, że drugi wiolonczelista nie jest co prawda jeszcze stary, ale również jest przygłuchawy. Nie można niestety powiedzieć nic dobrego o kontrabasistach. Obaj okazują dużo dobrych chęci i pilności, ale to na nic, bo co krok spostrzegając się u nich daje brak szkoły i odpowiedniego wykształcenia fachowego. Flet jest w tej chwili tylko jeden, lecz dobry. Również oboistę posiadamy jednego dobrego, choć znów nie aż tak doskonałego za jakiego sam siebie uważa. Drugi oboista przewyższa pierwszego skromnością, choć biegłością mu nie ustępuje. W klawirach mamy dwóch muzyków wojskowych. Gra ich jest wojskowo-akuratna i technicznie wykonana, wszelako brak jej tego, co na tym wdzięcznym instrumencie najtrudniej jest wydobyć: duszę, uczucie. W ich pracy za wiele jest wojska, a za mało myśli. Przy fagocie siedzi kolega, który na tym instrumencie grać się dopiero uczy, jest właściwie klawirzystą i tylko na kategoryczne żądanie dyrygenta przerzucił się na fagot. Do swej nowej pracy podchodzi on niezwykłe poważnie i jest drobniutko sumienny. Dlatego widać już dziś jasno, że będzie Orkiestra z niego miała pociechę. Z rogami rzecz się przedstawia podobnie jak z kontrabasami. Z dwóch trąbek pierwsza jest dobra, choć bardzo dumna ze swej sztuki. Trąbka druga jest obsadzona siłą przeciętną. Obaj trębaczowie mają wykształcenie wojskowe. Puzony nasz widział już trębacz różnych i dużo przechodził zmian. Nie można twierdzić, żeby dzisiejsi dwaj puzoniści byli najlepsi. Z napięciem i

obawą śledzimy każdy zespołowy odzew blachy, przygotowani na niespodzianki puzonowe. Tuba zalicza się u nas do tych instrumentów, na których można zawsze i bezwzględnie polegać. Perkusistów posiadamy dwóch, z których jeden stoi przy kotłach, drugi obsługuje resztę brząkał. Kotlarz wyróżnia się dość natarczywie wysokim wyrubowanym mniemaniem o swych kwalifikacjach muzycznych, które atoli absolutnie nie idą w parze z tym, co na swych błonach wyębni. Drugi perkusista wręcz przeciwnie, o sobie nic nie mówi, ale pracuje pilnie i akuracie”. Tak krytyczna ocena dyspozycji muzyków może była dość ostra, ale zdawano sobie sprawę, że aby dojść do perfekcji trzeba przebrnąć i przez taki okres, okres niepowodzeń, doświadczeń, nauki niemal od podstaw tak w administracji jak i w kulturze.

Od niedawna jesteśmy świadkami prac budowlanych na placu przy Filharmonii. Rozbudowa obiektu cieszy wszystkich wielbicieli muzyki poważnej, melomanów i samych filharmoników. Cieszyłaby też Ojca i ówczesnych muzyków. Na stronie 58 Kroniki Orkiestry Symfonicznej czytamy: „...Mimo wyniesienia ołtarza estrada okazała się jednak nieco dla nas za ciasna. Gdybyśmy na stałe pozostać mieli w Domu Społecznym, konieczne byłoby dobudowanie estrady tym więcej, że przewidujemy przecież zwiększenie się naszego zespołu na rok 1957. Są i inne niedogodności. Brak zupełny miejsca za estradą, brak pokoiów na przebywanie członków orkiestry, a przede wszystkim dla solistów oczekujących na występ. Również i publiczność nie ma się gdzie podziwiać w czasie przerwy”. Może wreszcie spełni się marzenie pierwszego koncertującego zespołu?



Fragment z programu „Wieczór Melodii Operetkowych” z 1957 r.

Gruba księga Kroniki, mimo zapisanych tylko 130 stron, to nie tylko ważny dokument dla Filharmonii i naszego miasta. Ileokroć do niej sięgam, odkrywam nowe historie pisane lekkim piórem, strony pełne żartu, pochwał i krytyki, suche relacje i ciepłe słowa, dokument i historia.

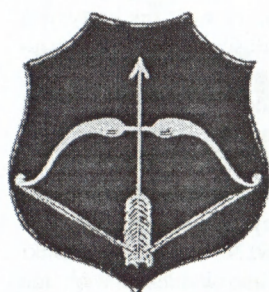
Było wielką sztuką znaleźć sobie miejsce w środowisku niezbyt przyjaznym i mało tolerancyjnym. Wychowany w domu pełnym tradycji i surowych zasad Ojciec potrafił odnaleźć się w każdej sytuacji, chociaż podczas obu wojen światowych, w czasie powstania wielkopolskiego, a potem w okresie stalinizmu był często na krawędzi życia i śmierci. Myślę, że muzyka była Jego ucieczką i schronieniem.

Nie tylko Zielonej Górze Ojciec mój poświęcił spory kawałek życia. Zdając sobie sprawę z tego, że muzyką nie utrzyma rodziny, wykorzystywał swoje studia prawnicze. Już przed wojną rozpoczął pracę w administracji samorządowej. W latach 1933-1935 był burmistrzem w poznańskim Lwówku, a od roku 1935 do wybuchu II wojny światowej burmistrzował w Grodzisku Wlkp. Nie zapomniano tam o Nim, o działaniach na rzecz tego miasta, ale to już zupełnie inna historia.

Zdzisława Kraśko

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT!

część V (Lata dwudzieste XX wieku)



Wynik I wojny światowej przeszedł wszelkie oczekiwania, klęski zaborców stworzyły niepowtarzalną szansę budowy niepodległych państw przez narody Europy Środkowej i Wschodniej. Szczególnie dotyczyło to Polaków, których wola przetrwania niewoli i odzyskania niepodległości pozwoliła wykorzystać sprzyjającą chwilę dziejową. Tylko że ta niepodległość była niezmiernie trudna, przez tereny polskie przechodził kilkakrotnie front, Polacy ponieśli w wojnie ogromne straty ludzkie i materialne. Ponadto pięć pokoleń Polaków w trzech zaborach żyło i rosło w diametralnie różnych warunkach. II Rzeczpospolita musiała się z tym uporać przy budowie jednolitego i nowoczesnego państwa.

Najbardziej zniszczone były tereny na wschodzie, w tym Polesie. Rosja ewakuowała na wschód kraju tysiące ludzi, zakłady przemysłowe i stada zwierząt. Zniszczenia dokonała rabunkowa polityka Niemiec, wywożących co się dało na zachód, a dopełniła wojna 1920 r. z plądrowaniem, grabieżami i paleniem, szczególnie dworów.

Zniszczony i wyludniony Pińsk, 35-tysięczny w 1914 r., po wyjściu Niemców 9-tysięczny, już od 3 marca 1919 r., po zajęciu przez legion pod dowództwem gen. dyw. A. Listowskiego, rozpoczyna porządkowanie i odbudowę. Liczba mieszkańców szybko rosła, wracali ci, co przeżyli, ze wschodu jak i z zachodu. Ludność miasta powiększała się również o uciekające od bolszewików osoby z Rosji. Dla nich Pińsk był tylko przystankiem w ucieczce na zachód, ale inni pozostawali tu na stałe. Na początku 1921 r. ludność Pińska wynosiła już około 25 tys. osób.

Z okolic Kalinkowicz wróciła też nasza rodzina, babcia Dominika Kaczanowska i wujostwo Antonina i Aleksander Gruszewscy z czwórką dzieci: Jankiem, Marysią, Mikołajem i Jurkiem (urodzonym w 1916 r. w „bieżencach” w Domaszewiczach). Wrócili do Pohostu Zahorodzkiego, gdzie wujek przed wojną pracował. Mama pozostała jeszcze w Babczynie, gdzie kończyła edukację nauczycielki, a jej brat był młodym wykładowcą w bliźniaczej szkole męskiej. Potem z licznymi przygodami przedzierał się do domu.

Jeszcze 7 lutego 1919 r. wprowadzono dekretem powszechny obowiązek szkolny, jego realizacja w pełni nie była możliwa, trwały działania wojenne i brakowało wszystkich, nauczycieli, szkół i podręczników, robiono, co się dało.

Pierwszą posadę nauczycielki otrzymała mama w małej wiosce Wólce Ławskiej, a jedną z pierwszych mamy uczenic była Malwina Marcinkiewicz, obecnie zamieszkała w Zielonej Górze przy ul. Anieli Krzywoń.

W 1921 r. Kaczanowscy wrócili na swoje gospodarstwo do Duboja, mama została nauczycielką w rodzinnej wsi, a

wujek Michał Kaczanowski wójtem gminy Płotnica pow. Stolin. Mama wspominała, że dostała miesięczną pensję – prawie teczkę banknotów, a za dwa dni za całość kupiła w Łunińcu grzebyki i dwa mydelka. Było to, sędzę, jesienią 1923 r. w czasie hiperinflacji marki polskiej.

14 sierpnia 1919 r. generalny komisarz Ziem Wschodnich ustawą miejską powołał polskie samorządowe władze Pińska, które miały niezmiernie trudne zadanie – dzwignąć zdezastrowane miasto, odrobić to, co straciło jako stolica regionu – Polesia i wyprowadzić Pińsk na drogę dalszego wzrostu. Realizację tego przerwały na 3 miesiące działania wojenne w 1920 r. Zdobycie Pińska przez „Bałachowców” i podpisanie rozejmu, umożliwiło władzom Pińska dalsze porządkowanie spraw miasta.

Ustawą sejmową z 4 lutego 1921 r. powołano województwo poleskie, a Pińsk stał się siedzibą władz wojewódzkich. Była to nobilitacja miasta. 14 marca 1921 r. pierwszym wojewodą poleskim powołano Romana Walerego, 43-letniego prawnika z Suwałk i Warszawy.

Jednak miastu Pińsk nie dane było zostać miastem wojewódzkim. W niedzielę 19 sierpnia 1921 r. wybuchł w Pińsku ogromny pożar, który objął centrum miasta. Spłonęło kilkaset domów, sklepy, gimnazjum żeńskie, dach kościoła farnego. Po tym kataklizmie władze wojewódzkie przeniesiono do Brześcia, który jest stolicą administracyjną Polesia do dziś.

W Pińsku pozostały władze sądowe, dla potrzeb których wybudowano wspinały nowoczesny gmach o frontonie z kolumnami na wysokość trzech pięter przy ul. Karolińskiej 62, gdzie mieścił się Sąd Okręgowy, Prokuratura i Sąd Grodzki. W Pińsku pozostał też Konsystorz Prawosławnej Diecezji Polskiej przy ul. Dominikańskiej 57. Również w Pińsku po wojnie została nowo erygowana katolicka diecezja pińska, obejmująca swym zasięgiem oprócz Polesia część woj. nowogrodzkiego oraz Bielsk Podlaski z woj. białostockiego.

Pierwszym ordynariuszem diecezji pińskiej od 1925 r. był ks. Zygmunt Łoziński, ur. w 1870 r. koło Nowogródka, dotychczasowy biskup Mińska.



Zygmunt Łoziński

Wybitna osobowość, asceta, człowiek wielkiej pobożności, o wielkim sercu i dobroci, pomagał bliźnim bez wzglę-

du na ich narodowość czy wyznanie. Rozumiał problemy narodowościowe Polesia, znał język rosyjski i białoruski, którym się niejednokrotnie posługiwał, np. w czasie majowych pielgrzymek do Janowa Poleskiego, miejsca zamęczenia św. Andrzeja Boboli, lub w czasie duszpasterskich wizytacji. Wiele uwagi poświęcał dialogowi i zbliżeniu z wyznawcami prawosławia oraz współzycia z izraelitami.

Kuria i Dom Biskupi mieściły się przy ul. T. Kościuszki 16 w zespole pofranciszkańskich barokowych budynków klasztornych z XVII w., otoczonych murem, z wewnętrznym dziedzińcem, zwanych „Mały Wawel”.

W zabudowaniach klasztornych mieściło się również Wyższe Seminarium Duchowne im. św. Tomasza z Akwinu. Jedyną wyższą uczelnią na Polesiu (po maturze i 6-letnie). Przez wiele lat rektorem WSD był ks. kanonik Jan Wasilewski. Obok alumnów obrządku łacińskiego w WSD stale kształciło się kilku alumnów grekokatolików.



Katedra i Wyższe Seminarium Duchowne.

Zabudowania klasztorne były połączone z kościołem farnym, który 28 października 1925 r. Ojciec Święty Pius XI (1857-1939) Achilles Ratti – pierwszy nuncjusz apostolski w niepodległej Polsce, podniósł do godności katedry diecezji pińskiej. Staraniem proboszcza ks. dziekana Stefana Wojtka z funduszy wiernych i dotacji państwowych kościoł po pożarze w 1921 r. był już odrestaurowany. Z zewnątrz w stylu gotycko-renesansowym z fasadą barokową. Wewnątrz trójnawowy z obudową ostatniej odmiany baroku – rokoko. Stara sznycerska robota w drewnie, polichromie, posrebrzenia i pozłocenia. Doskonałe organy i kilka obrazów starych mistrzów, a w bocznym ołtarzu ten najbardziej znany „Pińskiej Madonny”, namalowany w 1894 r. przez Alfreda Romera z Akademii Krakowskiej, wcześniej malarza Krakowa, Rzymu i Paryża.

W późniejszych latach proboszczem katedry był ks. prałat Witold Inicki.

W Pińsku działały jeszcze dwa kościoły i kaplica.

– Plac 3 Maja, wspomniany już przepiękny kościół oo. Jezuitów pw. św. Stanisława, jako kościół garnizonowy.

– Ulica Albrechtowska 55, kościół parafialny, ponownie pw. św. Karola Boromeusza.

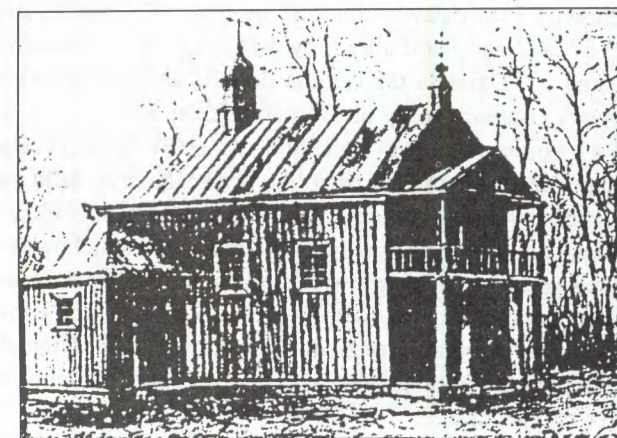
– Ulica Spokojna, kaplica drewniana pw. Matki Boskiej Bolesnej na cmentarzu katolickim.

Ulica Spokojna nosząca taką nazwę i dzisiaj wywołuje



Pińska Madonna

refleksje. Za torami wchodząc na ul. Spokojną, po lewej stronie rozpościera się cmentarz katolicki, a po prawej prawosławny. Założone na początku XIX w., od 1993 r. zamknięte dla pochówku, traktowane jako kompleks historyczny. Te cmentarze to nie tylko różnica wyznań chrześcijańskich, ale także nasza trudna historia XIX i XX wieku, a przecież kaplice, które stały naprzeciw siebie, miały nawet takie same krzyże (w prawosławnych tzw. skośną przekładkę wprowadzono dopiero w XIX w.).



Kaplica katolicka.



Kaplica prawosławna.

Przodkowie wielu pińszczan leżą po obu stronach ulicy Spokojnej, te same nazwiska po lewej pisane alfabetem łacińskim a po prawej cyrylicą.

Również w centrum miasta świątynie różnych wyznań stały niedaleko siebie. Charakteryzuje to zdjęcie.



Pińsk, ul. Łohiszyńska.

U wylotu ul. Łohiszyńskiej kościół oo. Jezuitów, na prawo sobór pw. św. Teodora – katedra prawosławna przy ul. Dominikańskiej, a niedaleko na lewo (niestety niewidoczna) wielka synagoga przy ul. Królowej Bony. Konsystorz Duchowny Prawosławny mieścił się przy ul. Dominikańskiej 57, a Urząd Parafialny Prawosławny przy ul. Dominikańskiej 13. Działała też czynna do dziś cerkiew pw. św. Warwary (Barbary) przy ul. Bernardyńskiej 38.

Po I wojnie światowej życie obu siostrzaných (wg prawa kanonicznego jedynie z Kościołem prawosławnym istniejącej tzw. częściowa interkomunia, tzn. w wyjątkowych okolicznościach katolicy mogą przyjąć komunię św. od duchownego prawosławnego i odwrotnie) religii chrześcijańskich układało się dobrze. Bardzo często sąsiedzi, koledzy, ktoś z rodziny, a nawet jedno z rodziców byli prawosławni. Niemal powszechna była znajomość języka tzw. poleszuckiego, a nawet rosyjskiego.

Narodowość mieszkańców Pińska to w przybliżeniu 60% Żydzi, 20% Polacy, 10% Białorusini, 5% Rosjanie, reszta to Ukraińcy i Niemcy. We wsiach Żydzi stanowili około 3%, a Białorusini i Poleszacy około 70%. Zdecydowana większość mieszkańców wsi była prawosławna, nawet tzw. zaściankowa szlachta polska też najczęściej była prawosławna. Do wyjątków należały całe wsie katolickie, jak np. nasza parafia – wieś Osowa, pow. Stolin.

Pomimo że Polska dla Żydów-tułaczy, wygnanych z prawie wszystkich krajów Europy, od wieków była schronieniem, do nielicznych wyjątków należały małżeństwa z chrześcijanami.

Według M. Filipowicza autora książki „Ludzie, stocznie i okręty” wiele Żydówek w Pińsku słynęło z urody. Żydzi nie dopuszczali, aby kontaktowały się one z Polakami, szczególnie marynarzami. Pewnego dnia zaginęła córka sklepiarkarza, Żydówka Sonia Grabowiecka. Żydzi podnieśli larum, były delegacje u dowódcy floty, sprawdzanie załóg okrętowych, sprowadzenie detektywa z Warszawy, wszystko na nic. Okazało się, że Sonia dobrowolnie ukryła się u oo. jezuitów, przyjęła katolicyzm i została żoną maty Michalskie-

go. Na ogół zaloty Polaków kończyły się awanturami z młodymi Żydami, których rodziny tworzyły raczej zamknięte własne środowisko. Wujek Aleksander Gruszewski miał ogromne trudności, by kupić dom w centrum Pińska, Żydzi nie chcieli wpuścić między siebie „goja”. Przeplacił bardzo, ale kupił od Żyda stary drewniany dom na atrakcyjnej działce. Dom zburzył i postawił w 1927 r. kamienicę, jednak sąsiad nie zgodził się na wstawienie okien w szczycie, na granicy jego posesji. A po latach jego wnuka i synową w 1942 r. wywiózł z Pińska, z narażeniem życia, właśnie kuzyn Mikołaj Gruszewski.

Przy ul. M. Ogińskiego 14 działał Urząd Stanu Cywilnego Okręgu Bożniczego, były też cmentarze, żydowski piński – ul. Żydowska i żydowski karoliński – ul. Boczna.

Żydzi z Pińska byli warstwą społeczeństwa stosunkowo dobrze wykształconą, stanowili oni zdecydowaną większość w tzw. wolnych zawodach, np. lekarzy czy prawników. Mieli też swoją prasę, organizacje społeczne i polityczne. Rodem z Pińska był Chaim Weizmann (1874-1952), polityk, długoletni przewodniczący Światowej Organizacji Syjonistycznej, od 1949 r. pierwszy prezydent Izraela.

Inteligencja Pińska była w zdecydowanej większości wykształcona w szkołach rosyjskich, niektórzy mieli trudności w posługiwaniu się językiem polskim. Początkowo na to nie zwracano większej uwagi, ale z czasem następowały zwolnienia i na Polesie przysyłano urzędników, a przede wszystkim pedagogów z innych dzielnic Polski.

Na tej fali w 1925 r. przybył do Pińska 21-letni nauczyciel z Sochaczewa Franciszek Rudnicki. Uczył w szkole nr 1 przy ul. Brzeskiej, potem przy ul. Moniuszki 16, gdzie kierownikiem był Józef Niedźwiedzki, a nauczycielem m.in. Sternal. Wówczas w Pińsku były tylko 2 szkoły powszechne, z latami powstawały następne. F. Rudnicki ożenił się z pińszczanką, w Pińsku urodziły się ich dzieci. Po trudnych latach wojennych od 1947 r. F. Rudnicki uczył na ul. Chopina w Zielonej Górze i organizował tu Związek Nauczycielstwa Polskiego. Państwo Rudniccy, sybiracy, pionierzy Zielonej Góry do dziś mieszkają przy ul. dr. Pieniężnego. Również w Zielonej Górze mieszkają pińscy uczniowie F. Rudnickiego, np. Helena, Jadwiga i Władysław Czaplikowscy, Janina Rubczewska-Harnaszkiewicz, Irena Krajewska-Wielohorska.

W 1922 r. przybył do wsi Duboj, pow. Stolin jako nauczyciel mój ojciec. Przybył z Lwowa, gdzie ze względu na chorobę dziadka musiał przerwać na II roku studia prawnicze i ukończył kurs pedagogiczny. W 1924 r. został kierownikiem, a w 1925 r. rodzice się pobrali. W 1925 r. przybyła do Duboja młoda nauczycielka z Kieleckiego Zofia Michalska, która w 1927 r. została żoną wujka Michała Kaczanowskiego. Również przez przemieszczanie się i małżeństwa powstawał jednolity naród polski.

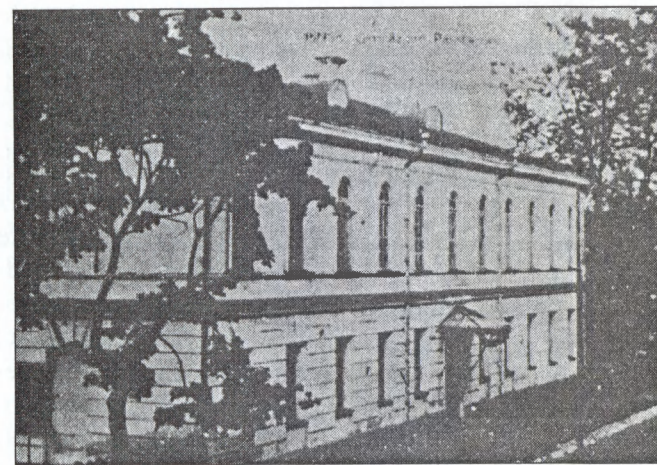
W sierpniu 1921 r. przybył do Pińska 54-letni doświadczony pedagog Felicjan Śliwiński, urodzony w woj. łódzkiej, absolwent Uniwersytetu Petersburskiego. Od 1891 r. uczył matematyki i fizyki, m.in. w Petersburgu, Łodzi i Brześciu, na resztę życia związał się z Pińskiem. Był organizatorem, pierwszym i długoletnim dyrektorem Państwowego



Na zdjęciu obok po lewej Michał Kaczanowski z żoną Zofią i synem Zenonem, po prawej moi rodzice i ja; obie rodziny po 1945 r. – zielonogórzanie. U dołu dwie niańki, kuzynki mamy, siostry Kaczanowskie, nie wyjechały z Duboja. Pośrodku babcia Dominika Kaczanowska z Protasowickich (1860-1940), u góry najstarszy z moich kuzynów, Janek Gruszewski, student w Pradze Czeskiej. W 1947 r. w wieku 40 lat zginął na nieludzkiej ziemi – w Workucie.

Gimnazjum w Pińsku. Był w mieście osobą powszechnie znaną, szanowaną i lubianą.

Na przeciwległym narożniku ulic T. Kościuszki i M. Ogińskiego stoi gmach b. gimnazjum żeńskiego.



Gimnazjum męskie w Pińsku, ul. T. Kościuszki 45.

Gimnazjum w Pińsku było wybudowane w 1853 r. przez ziemianina Aleksandra Skirmuntta (1798-1870), przedsiębiorcę, chemika, którego wnuk Konstanty Skirmuntt (1866-1949) został ministrem spraw zagranicznych Polski (czerwiec 1921 – czerwiec 1922) w gabinetach Wincentego Witosa i Antoniego Ponikowskiego. Polska w tym okresie była skłócona z sąsiadami (wcześniejsze walki o granice). K. Skirmuntt realizował roważną politykę pokojową. 7 października 1921 r. zawarł porozumienie polsko-radzieckie, a 6 listopada 1921 r. polsko-czeskie. Jego działania spowodowały, że wzrosła ranga Polski na arenie międzynarodowej. Jednak nie był w stanie zapobiec zawarciu 16 kwietnia 1922 r. układu niemiecko-radzieckiego w Rapallo. Ten układ i chęć wzmocnienia własnej pozycji przez J. Piłsudskiego były głównym powodem upadku gabinetu A. Ponikowskiego. K. Skirmuntt był potem długoletnim ambasadorem Polski w Anglii.

Zaledwie zakończyły się działania wojenne, a już w kraju rozgorzały walki polityczne, trudności gospodarcze, finansowe i inne wywoływały ciągłe zmiany gabinetów. J. Piłsudski w 1923 r. wycofał się z życia politycznego, by w 1926 r. w wyniku przewrotu majowego ponownie sięgnąć po władzę. Pomimo tych walk wewnętrznych Polska scalała się, odbudowywała, a lata 1926-1929 to największy wzrost gospodarczy – czas prosperity. Cień na ten okres rzuca zamach majowy 1926 r., tzw. sprawa brzeska i brak sensownej polityki wobec mniejszości narodowych, co negatywnie odbijało się na Kresach Wschodnich, w tym w Pińsku. Jednak władze dla rozwoju miasta robiły bardzo wiele. Rozbity dworzec kolejowy został całkowicie przebudowany, powstał piękny obiekt. Zniszczone warsztaty kolejowe odbudowano w mniejszym zakresie, część ich działalności przejęły duże warsztaty w Łunińcu. Odbudowano wiele państwowych budynków użyteczności publicznej, rozpoczęto budowę nowych.

W 1926 r. przy ul. Kościuszki 31, staraniem R. Horszkiewicza i P. Olewińskiego, założono Muzeum Poleskie z zapoczątkowanymi działami:

- wyrobów przemysłu ludowego,
- zbioru poleskiego ptactwa wodnego,
- numizmatyczno-archeologiczno-historycznym,
- fotografii, z dziełami artysty-fotografika z Pińska Leonarda Nowakowskiego.

Szczególną uwagę poświęcano brukowaniu ulic i układaniu chodników, gdyż większość ulic w mieście nie miała twardej nawierzchni, a chodniki to były dwie deski luźno położone.

Właściciele domów, fabryk, warsztatów też energicznie je odbudowywali, sprzyjała temu możliwość zaciągania kredytów. Znaną fabrykę zapalek przy ul. Brzeskiej przejął Państwowy Monopol Zapalczany.

Po ustaniu działań wojennych granica państwa była płynna, ustalonej traktatem ryskim z 1921 r. granicy pilnowała policja, lecz nie była w stanie zapobiec nielegalnemu przemieszczaniu uciekinierów, uzbrojonych band rabunkowych i szpiegów. Pińsk z racji rozwiniętego przemysłu drewnianego, stacjonowania wojska, a szczególnie Floty Pińskiej,

był przedmiotem zainteresowania obcych wywiadów. Były przypadki sabotażu, szczególnie przez podpalenie. Głośno było o wykryciu i osądzeniu szpiega Zagiełły powieszono go w więzieniu pińskim czy marynarza-sygnalisty z Pińska rozstrzelanego w twierdzy brzeskiej. Pińskiem byli zainteresowani Sowietci, Niemcy, Anglicy i inni. Sytuacja uległa poprawie po uszczelnieniu granicy przez powołanie Korpusu Ochrony Pogranicza.

W Pińsku przy ul. Kościuszki 5 mieściły się Komenda Garnizonu i Dowództwa 84 Pułku Piechoty, natomiast sam pułk stacjonował przy ul. Albrechtowskiej. Powstał on latem 1920 r. jako 101 Pułk Piechoty, brał udział w ofensywie polsko-ukraińskiej, walczył na ziemi białostockiej, 20 września 1920 r. zdobył Grodno. Po wojnie zostaje przemianowany na 84 Pułk Piechoty i przeniesiony do Pińska. Dowódcą pułku był płk Zawisłak, inwalida bez prawej ręki, pomimo to często dosiadający konia.

Jesienią 1918 r. Polska nie miała jeszcze dostępu do morza, z napływających grup marynarzy z flot zaborczych tworzone rzeczne flotylle wojenne. 23 grudnia 1918 r. w Modlinie – Flotyllę Wiślaną, a 19 kwietnia 1919 r. Flotyllę Pińską, która w wyniku działań wojennych 1920 r. przestała istnieć. Z powodu niskiego stanu wód, co się dało, ewakuowano pociągami do Modlina, a jednostki pływające, które nie wpadły w ręce bolszewików – zatapiano. W listopadzie 1920 r. podjęto decyzję o reaktywowaniu Flotylli Pińskiej. Do 1 marca 1922 r. odbudowywał ją tzw. Oddział Detaszowany Flotylli Wiślanej na Prypeci, który początkowo pełnił też rolę patrolową na granicy, zwalczał powojenny bandytyzm, a nawet świadczył usługi transportowe dla ludności, lecz przede wszystkim w Pińsku, koło wsi Kaczanowice, w Mostach Wolańskich i innych miejscach, wydobywał tabor pływający, zatopiony w 1920 r. przez Flotyllę Pińską, a potem również przez ustępującą Flotyllę Dnieprzańską. Jednocześnie dla potrzeb Flotylli na terenach dawnej stoczni i fabryki gwoździ, a położonych obok portu wojennego, odbudowywano Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej, które naprawiały, modernizowały, konserwowały i utrzymywały w gotowości bojowej wszystkie jednostki oraz tabor pomocniczy. Po pewnym czasie budowano również nowe jednostki w oparciu o własne biuro konstrukcyjne.

2 marca 1922 r. Oddział Detaszowany przeformowano w nową Flotyllę Pińską, dowódcą został kpt. por. Marian Wolbek, a od 23 października 1924 r. kom. por. Władysław Blinstrub. Były to trudne czasy, Flotylla była nadal w stadium organizacji, wielu oficerów, podoficerów i pracowników kadry technicznej warsztatów pochodziło z marynarki wojennej rosyjskiej, słabo znali język polski, panowało rozprężenie, brak dyscypliny. Marynarze zwani w Pińsku „lejmanami” wywoływali burdy pijackie na mieście, szczególnie z żołnierzami piechoty, podkreślając swą ważność, trafiali na odsiadkę do więzienia, a nawet do twierdzy brzeskiej. Nieco poprawiło sytuację zakończone w 1926 r. ogrośzenie terenów warsztatów i portu wojennego.

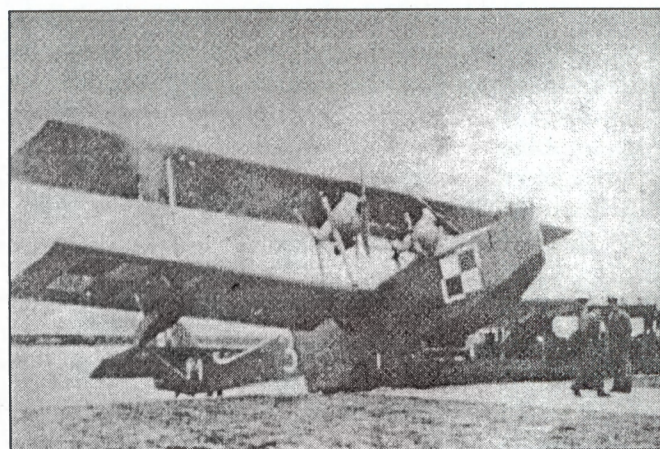
W początkach 1926 r. Flotylla Wiślana została rozformowana (budowano flotę morską), jednostki pływające i



Port wojenny w Pińsku, 1928 r.

personel zasilili Flotyllę Pińską, od tej pory jedyną w Polsce marynarkę wojenną wód śródlądowych.

Po przewrocie majowym w 1926 r., gdy Polska Marynarka Wojenna zajęła neutralne stanowisko, było zagrożone samodzielne istnienie Flotylli Pińskiej. 25 lutego 1927 r. dowódcą zostaje kmdr ppor. Witold Zajączkowski, doskonały dowódca i organizator. Energicznie zabrał się do uzdrawiania sytuacji i uzyskał wysoką ocenę w czasie inspekcji gen. Rybaka. Wyniki kontroli oraz odtworzenie przez ZSRR Flotylli Dnieprzańskiej spowodowały, że marszałek J. Piłsudski pozostawił Flotyllę Pińską w dotychczasowej strukturze organizacyjnej. Flotylla uzyskiwała uznanie, a jej dowódca, przydomek „Książę Polesia”, był też lubiany przez marynarzy, którzy nazywali go po prostu „Zającem”. Od 1928 r. Flotylla miała, jako wsparcie lotnicze, swoją Rzecz-



Wodnosamolot.

ną Eskadrę Lotniczą. Były to nie najnowsze wodnosamoloty z lat dwudziestych.

Pińszczanie byli bardzo dumni ze swej Flotylli Pińskiej. Lata dwudzieste XX w. żegnali zadowoleni, miasto było już odbudowane, trwała dalsza rozbudowa. Utrzymywał się wzrost gospodarczy, rozwijała się oświata i kultura. Ponadto pływające po Pinie uzbrojone okręty i startujące hydroplany (tak je nazywano) utwierdzały w przekonaniu, że to, co zbudowali przez 10 lat w pocie czoła, jest dobrze strzeżone.

Cdn.

Jadwiga Kolibabka

HABITAT

Podjmując zadany sobie temat, przywołuję jawiący się coraz częściej w ludzkiej świadomości termin „habitat”, a więc – miejsce, środowisko, w którym żyje człowiek, pracuje, odpoczywa, które przekształca.

Habitat – to siedziba gajowego w lesie, to wieś otoczona polami czy przytulona do rzeki, to większe lub mniejsze miasto, to dziś także aglomeracja – zespół ściśle lub luźno połączonych organizmów miejskich. W nieodległej jeszcze przeszłości ludzie wciśnięci w ten większy czy mniejszy organizm miejski zaspokajali swoje codzienne potrzeby w swoim zakresie, za środki uzyskane pracą rąk czy umysłu.

Dziś miasto to wysoko zorganizowana społeczność (zorganizowana lepiej lub gorzej), której zapewnia się zaspakajanie prawie wszystkich potrzeb („tworząc” ustawicznie nowe). Na zasadzie sprzężenia zwrotnego prowadzi to do dwustronnej niezbędności, która zresztą dla wielu staje się uciążliwa. Nie powinny więc dziwić zdarzające się coraz częściej próby odwrotu, ucieczki z miasta, szukania azylu...

W walce z „wrogą” przyrodą od dawna, dla własnych egoistycznych celów, człowiek wypracował swój antropocentryczny pogląd na porządek świata, przydzielając jednostronnie roślinom, zwierzętom rolę służebną w stosunku do siebie. Dopiero od niedawna widzimy wyraźnie naszą agresywność wobec przyrody i jej części składowych. Wyciągamy pierwsze obiektywne wnioski, wzywamy do równouprawnienia wszystkiego z wszystkim, do pokory wobec tego, czego jesteśmy tylko chwilowym użytkownikiem. A więc – wszystko co żyje, ma te same prawa. I dalej. To, co żyje inaczej, np. substancja stworzona, zbudowana przez człowieka, posiada prawo istnienia. Stąd otwarcie człowieka na przeszłość – tę najdalszą i tę zaledwie wczorajszą. Ci wszyscy (dziś już nieliczni), którzy nasze miasto zobaczyli i zaczęli poznawać bezpośrednio po wojnie, zachowali w oczach i umysłach obraz spokojnego, zielonego, nie tylko z nazwy, miasteczka solidnych domów komponujących ulice i place, pomnikowych drzew, często nie znanych wcześniej, peryferyjnych ogrodów i winnic. Ci pionierzy, akceptując realizację planów rozbudowy miasta, obawiali się słusznie zamazania, zdeptania zastanych wartości.

Po pół wieku działalności inwestycyjnej, doczekaliśmy się zwielokrotnienia ludności i obszaru Zielonej Góry, rozbudowy wzwyż i wszcz. Tak więc coraz trudniej znaleźć tu „zapach” dawnych lat. Po dość długim okresie „planowego” zagospodarowania przestrzeni miejskiej (z wiadomymi już dziś, jakże licznymi błędami i potknięcia-

mi), ostatnie dziesięciolecie nie przyniosło zasadniczych korekt. Jednocześnie ekspansywny, młody kapitalizm nie został jeszcze związany rygorami odpowiedzialnego, profesjonalnego (nie służebnego) projektowania, budowania, organizowania przestrzeni i skutecznego nadzoru. Oczywiście mamy już pierwsze dobrze zaprojektowane i zrealizowane, dobrze usytuowane a i urodziwe domy, gmachy. Chcemy także wierzyć, że będzie ich więcej. Z drugiej strony walka o konsumenta doprowadziła do „zagłuszenia” oczu zielonogórców mnogością reklam, wszelakiego rodzaju informacji wizualnej, nowych koncepcji architektonicznej kolorystyki...

Jak więc ma się „habitat” dzisiejszego mieszkańca miasta w porównaniu z otoczeniem, jakie zastali pionierzy pół wieku temu? Jakie środowisko miejskie przygotowujemy sobie i swoim dzieciom? Czy powinniśmy z pełnym zaufaniem przyjmować nowe? Czy powinniśmy patrzeć krytycznie, zabierać głos w tej materii, bronić starego, bronić się (w granicach rozsądnego rozsądku) przed nowym, modnym czy supermodnym? Retoryczność tych pytań może okazać się oczywista...

Wydeptując chodniki tego miasta od czterech dziesięcioleci nie mogłem nie zadawać sobie pytań, które – jestem o tym przekonany – drażniły i drażnią także umysły moich współobywateli. Myślę, że te pytania i wynikające z nich problemy dobrze byłoby przedstawić szerszej społeczności. Dlatego odchodząc od przydługich może rozważań natury ogólnej, będę próbował przejść do konkretnych, podjęć próbę nazwania po imieniu tego, co na naszym podwórku dobre, poprawne, znośne i tego, co niedobre, nieudane, poronione. Oczywiście posługując się moim aparatem percepcji, analizy opartej na zawodowym postrzeganiu, na porównywaniu tego, co tu, u nas, z tym obserwowanym, widzianym gdzie indziej, w podobnych wielkością, bliższych i dalszych organizmach miejskich. A więc – jeśli ta wstępna wypowiedź nie wyczerpie cierpliwości czytelnika – chciałbym móc powiedzieć w następnych numerach pisma o takich sprawach jak:

- uroda plastyczna kompozycji architektoniczno-pejzażowych (gra nieba, ziemi, architektury, zieleni),
- negatywne (dawne i nowe) zjawiska w obrazie miasta (logika czasu, logika przestrzeni, jej obecność, jej brak),
- problemy związane z wprowadzaniem nowych elementów reklamy, dekoracji i informacji wizualnej,
- koegzystencja i konflikty między starym i nowym.

Witold Nowicki

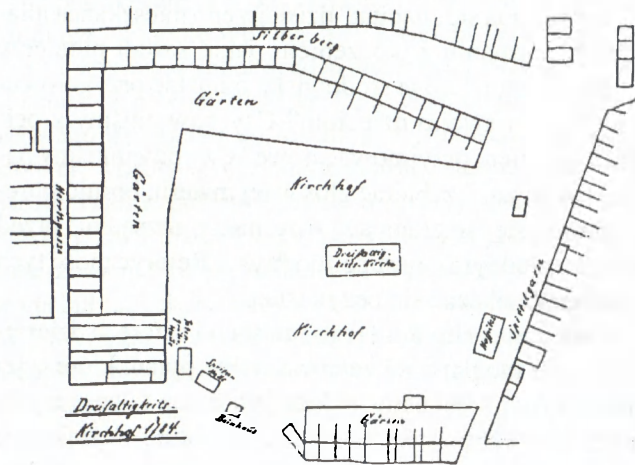
DZIEJE

Małgorzata Twarowska

zielonogórskich cmentarzy

Cmentarz pod wezwaniem Świętej Trójcy

Według niektórych przekazów, jak podaje w swojej historii Zielonej Góry Hugo Schmidt, poza murami miejskimi od niepamiętnych czasów („seit alter Zeit”) znajdował się cmentarz. Była to nekropolia pw. Świętej Trójcy, usytuowana na terenie dzisiejszego placu Słowiańskiego, na której chowano zarówno wyznawców protestantyzmu jak i katolików. Wydzielono tam także rewir, gdzie chowano wyznawców religii mojżeszowej. Cmentarz ten, wraz z kościołem, widnieje na planie sytuacyjnym Büttnera z 1784 roku.



Plan sytuacyjny cmentarza Świętej Trójcy wraz z kościołem w pobliżu Srebrnej Góry, 1784 r.

Kolejny plan sytuacyjny przedstawia położenie dzisiejszego placu Słowiańskiego z zaznaczonym kierunkiem wykonania zdjęć.



Plan sytuacyjny położenia placu Słowiańskiego – dawny cmentarz Świętej Trójcy.



Plac Słowiański, widok w kierunku wschodnim.



Plac Słowiański, widok na północną część placu.

Dzisiaj na terenie dawnego cmentarza pw. Świętej Trójcy znajdują się zabudowania Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz gmach Sądu Wojewódzkiego. Układ cmentarza jest nieczytelny, nie występują tam ani nagrobki, ani mogiły, nie zachował się również starodrzew i zieleń związana z założeniem cmentarza.

Jak już zostało wspomniane, na cmentarzu św. Trójcy ongiś znajdował się kościół pod tym samym wezwaniem, zwany także kościołem polskim. Zbudowano go w 1588 roku dla ludności ewangelickiej z podzielonogórskich wsi, które wyznaniowo podlegały kościołowi św. Trójcy. Istnienie kościoła polskiego jest dowodem na to, że zdecydowana większość mieszkańców tych wsi posługiwała się językiem polskim. Byli to tzw. polscy luteranie.

Kościół św. Trójcy był najstarszą świątynią ewangelicką w Zielonej Górze, pełnił także funkcję kaplicy cmentarnej dla protestantów, którzy posiadali jako jedyne wówczas miejsce

pochówku właśnie cmentarz św. Trójcy. Pierwszym administratorem kościółka był Jan Ramicki, pierwszy pastor polskich protestantów. Ostatni natomiast duchowny ewangelicki opuścił kościół i miasto w 1651 roku. Wówczas to kościół został przejęty przez katolików.

W dobie kontrreformacji kościół służył jako kaplica cmentarna zarówno katolikom jak i protestantom. Przywołując słowa cytowanego już Jerzego Majchrzaka, warto zwrócić uwagę na fakt, jak od tej pory układały się wzajemne stosunki obu wyznań przynależących do jednego kościoła: „W annałach miasta odnotowano, iż w »absolutnej jedności – permiscue – grzebano obok siebie na św. Trójcy katolików i protestantów, a w świątyni wszelkie kazania – sermones – i msze żałobne – funebria – w zgodności się odbywały«.”

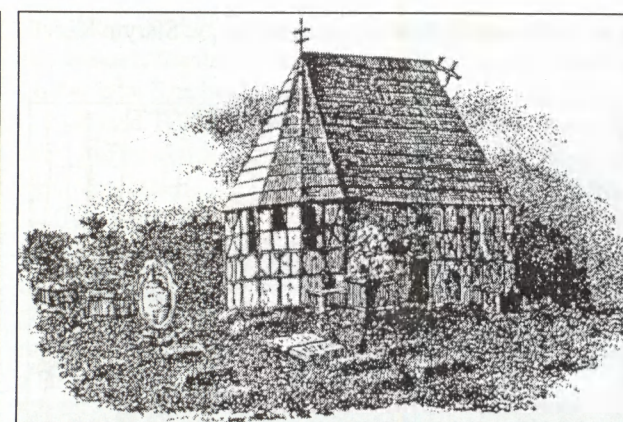
W rzeczywistości jednak o kościół św. Trójcy wraz z cmentarzem toczyły się nieustanne boje. Od XVII wieku do parafii pw. św. Jadwigi należały – formalnie jako majątek – dwa cmentarze: wokół spalonego kościółka św. Jana i cmentarz grzebalny poza murami miasta, czyli św. Trójcy. W 1628 roku doszło do pewnych nieporozumień w sprawie grzebania zwłok przez protestantów na cmentarzu św. Trójcy, wówczas to majątkiem kościelnym zawiadywali jezuita z o. Georgio Aquitano na czele. Otóż, jak pisze w swojej pracy Tadeusz Dzwonkowski, „w czasie przekazywania kościoła parafialnego w ręce katolików oddzielono ponownie zarząd gruntami i folwarkiem, a pozostałym majątkiem kościelnym. Pełniący obowiązki proboszcza o. Jerzy (Georgio) uzyskał także prawo administrowania kościółkiem św. Trójcy i przyległym doń cmentarzem. Przeciw takiemu rozstrzygnięciu zaprotestowali luteranie. 1 czerwca 1628 roku zorganizowali oni akcję protestacyjną i jednocześnie założyli własny, nowy cmentarz na gruntach parafialnych”. Był to cmentarz Jakubowy, gdzie obecnie znajduje się skwer na pl. Piłsudskiego przy budynku LOK-u.

Do połowy XVII wieku kościół św. Jadwigi, a wraz z nim cmentarz i kościół św. Trójcy, przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk, będąc raz w posiadaniu katolików, raz luteran. Dopiero rok 1648, kiedy zawarto tzw. pokój westfalski, przyniósł koniec wzajemnych zmagani obu wyznań. Decydujący głos w sprawie regulowania stosunków wyznaniowych na terenie Śląska przyznano administracji cesarskiej. Wówczas to bezpośrednio administrację kościołem św. Jadwigi, kościołem św. Trójcy i przyległymi do nich cmentarzami, pokościelnym cmentarzem św. Jana i domem parafialnym – przejął proboszcz. W początkach XVIII wieku kościół św. Trójcy używany był w dalszym ciągu jako kaplica cmentarna, jednak od 1672 roku wystawiano w niej ciała zmarłych katolików, protestanci natomiast „czynili to w szkole miejskiej”.

Kilkakrotnie jeszcze ewangelicy występowali o przyznanie im praw do kościółka św. Trójcy, zanim ostatecznie w 1747 roku powstała w mieście specjalna komisja do rozsądzania spraw spornych i w 1750 roku ustaliła, że kościółek św. Trójcy pozostanie w dalszym ciągu kaplicą cmentarną dla obu wyznań.

Kościółek św. Trójcy był skromną i prostą budowlą fachurową, niewysoką z pięciobocznym zamkniętym prezbiterium. Całość nakryta była stromym dachem gontowym, na którym pośrodku znajdowała się drewniana sygnaturka. W elewacji północnej było wejście do kościółka, a małe wysoko umieszczone okna słabo oświeślały wnętrze kościółka.

Zamieszczony sztych kościółka św. Trójcy zapożyczony został z pracy Hugo Schmidta.



Pod. Kościół św. Trójcy. Sztych z końca XVIII wieku.

Jak pisze Tadeusz Dzwonkowski, „do kościoła prowadziło dwoje drzwi. Wewnątrz świątyni, na ceglanej posadzce stały dwa rzędy ławek. W niewielkim prezbiterium znajdował się skromny drewniany »ołtarz«, na którym stał krucyfiks i dwa drewniane lichtarze. Kościółek nie posiadał wieży”.

Do końca XVIII wieku miasto rozrosło się znacznie, a potrzeba nowych terenów pod budownictwo stała się przyczyną decyzji o likwidacji zarówno cmentarza jak i kościoła św. Trójcy.

Hugo Schmidt pisze, że „w 1809 r. rozwalający się budynek został rozebrany, a 5 lat później zamknięto cmentarz św. Trójcy. W ciągu następnych dwóch dziesięcioleci ludność stopniowo go dewastowała. W 1835 r. władze miejskie założyły w tym miejscu targowisko, po czym wzgórze, zgodnie z jego nową funkcją, nazwano Nowym Rynkiem”.

W kwietniu 1818 roku rozpoczęto prace niwelacyjne terenu cmentarnego, które trwały mniej więcej do połowy lat trzydziestych tego stulecia. Większa część grobów została przeniesiona do założonego w tym czasie na północ od Bramy Górnej – nowego cmentarza pod nazwą Nowy Cmentarz Świętej Trójcy (przy zbiegu dzisiejszych ulic Dąbrówki i alei Wojska Polskiego), gdzie pierwsze pochówki datuje się na 1817 rok.

Jerzy Majchrzak w swojej pracy o dziejach Zielonej Góry podaje, iż w połowie XIX wieku, kiedy rozpoczęły się prace budowlane miejskiego gimnazjum realnego, natrafiono na terenie ówczesnego Nowego Rynku (dziś plac Słowiański) na zbiorową mogiłę żołnierzy szwedzkich z czasów wojny trzydziestoletniej. Pozostałości tego grobu przeniesiono do mogiły koło gotowych już fragmentów budynku, a miejsce opatrzone datą 1618-1648, która widniała na głazie mającym upamiętniać ów grób. Jednak „czas zatart wszelkie ślady”.

Nowa nekropolia powstała przy zbiegu dzisiejszych ulic Dąbrówki i alei Wojska Polskiego. Była pierwotnie własnością Jeremiasa Sigismunda Förstera, członka słynnego nie tylko w Zielonej Górze rodu, założyciela firmy sukienniczej „Jeremias Sigismund Förster” (późniejsza „Polska Welna”).

Zmarły w 1819 r. Jeremias Sigismund „pochowany został – jak pisze Grażyna Wyder – w stworzonym przez siebie parku Halbemeilenmühle (...). Dziesiątą rocznicę jego śmierci, przypadającą 27 czerwca 1829 roku, członkowie rodziny uwiecznili pamiątkowym kamieniem i tablicą z napisem: »Te pola i łąki zostały stworzone przez Jeremiasa Sigismunda Förstera, który 27 czerwca 1819 roku udał się do Boga na wieczny odpoczynek«.”

Nowy cmentarz Świętej Trójcy zaznaczony został na planach Zielonej Góry z okresu międzywojennego przechowywa-

nych w Archiwum Państwowym z siedzibą w Starym Kisielinie.



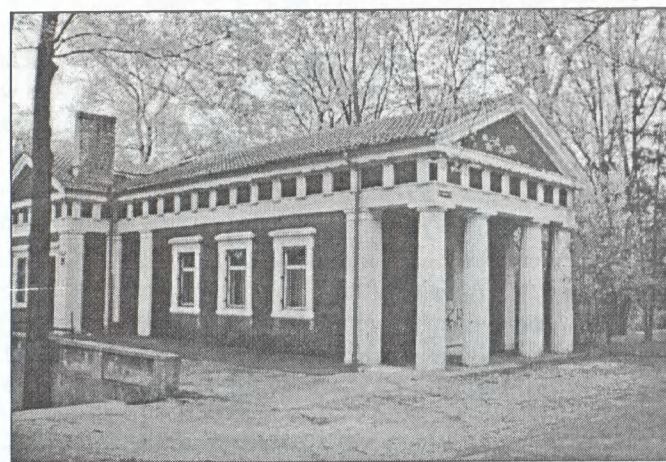
Cmentarz Nowej Świętej Trójcy. Fragment planu miasta z 1926 roku.

Dziś na terenie pocmentarnym znajduje się park osiedlowy im. Trzydziestolecia, pokryty w całości trawą i poprzecinany lipowymi alejami. Park połączony jest z aleją Wojska Polskiego schodami w osiach alejek parkowych. Dawny cmentarz rozplanowany był na rzucie prostokąta na lekkim wzniesieniu. Układ całości cmentarza jest czytelny, natomiast układ kwater, nagrobków i mogił jest nie do ustalenia. Nie odnotowano także żadnych pomników przyrody, jedynie mała skarpa od strony alei Wojska Polskiego pokryta jest krzewami: śnieguliczką, tawulą i jaśminowcem.

Cmentarz Zielonokrzyżowy

Kolejny cmentarz, zwany Zielonokrzyżowym zlokalizowano w północno-wschodniej części miasta. Powstał w połowie lat czterdziestych XIX wieku. Nekropolia ta zajmowała tereny położone między dzisiejszą ulicą Chrobrego i ulicą Wazów; przetrwał do końca lat pięćdziesiątych naszego wieku.

Pierwsze pochówki na tym cmentarzu datowane są na rok 1837, ostatnie zaś groby przeniesiono na nowy cmentarz miejski przy ulicy Wrocławskiej w końcu lat pięćdziesiątych naszego wieku oraz na cmentarz jędrzychowski, szczególnie po-



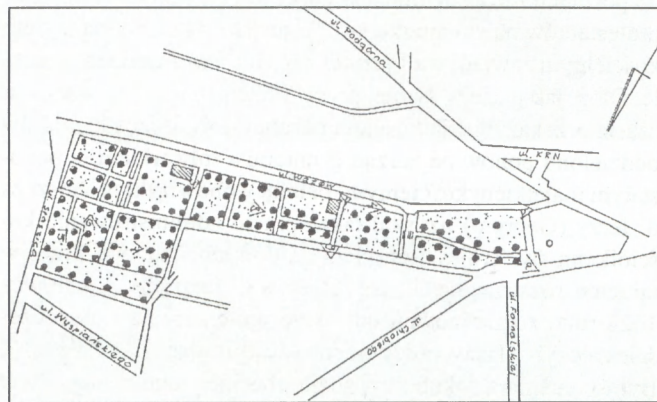
Krematorium w parku Tysiąclecia.

chówki niemowląt zmarłych ok. 1950 roku na zakaźną chorobę (ospa lub grypa), co pamiętają jeszcze niektórzy mieszkańcy miasta.

Cmentarz Zielonokrzyżowy zamieszczony jest w przedwojennych planach Zielonej Góry przechowywanych w Archiwum Państwowym w Starym Kisielinie. Plany te pochodzą z lat 1926 i 1939. W początkach XX wieku (być może wcześniej) podzielony został na dwie części: rzymsko-katolicką oraz część ewangelicką o nazwie Zielony Krzyż. Na planie z 1939 roku zaznaczone jest także krematorium, w którym spopieliano zwłoki zmarłych protestantów.

Jerzy Majchrzak w artykule o zielonogórskich cmentarzach pisze, że „rozbudowa tego cmentarza do obecnych rozmiarów Parku Tysiąclecia (...) nastąpiła w 1851 roku. Była to najbardziej reprezentatywna zielonogórska nekropolia o charakterze parkowym z dziełami sztuki kamieniarskiej i rzeźbiarskiej, niektóre o wybitnych walorach artystycznych”.

Teren dzisiejszego parku opada tarasowo w kierunku północnym.



Plan sytuacyjny parku Tysiąclecia.



Pozostałości źródła w parku Tysiąclecia.

Przez całą długość parku ciągną się piękne aleje lipowe oraz klonowe, zachowały się też pojedyncze egzemplarze rzadkich gatunków drzew: wiąz polny, wiąz górski, lipa amerykańska czy cyprysik błotny.

Z dawnego cmentarza Zielonokrzyżowego, oprócz krematorium, zachowała się także kaplica cmentarna z dobrze utrzymaną kolumnadą. Dowodem na istnienie dzieł rzeźbiarsko-kamieniarskich na terenie nekropolii Zielony Krzyż, o których wspominał Jerzy Majchrzak, są dobrze zachowane pozostałości źródła.

W 1994 roku na murach krematorium w parku Tysiąclecia zamieszczona została tablica pamiątkowa poświęcona twórcom Zielonej Góry. Figurują na niej nazwiska:

– inż. Georg Beuchelt – rajca miejski, przemysłowiec, założyciel znanego w całej Europie biura projektowego konstrukcji stalowych i budowy wagonów, fundator kościoła pw. Najświętszego Zbawiciela.

– Leopoldyna Leszczyńska – primabalerina opery w St. Petersburgu, Paryżu i Wiedniu, dyrektorka zielonogórskiej szkoły tańca i kursów dobrych obyczajów.

– dr Jur. Ernest Ouvier – burmistrz Zielonej Góry, założyciel Stowarzyszenia do Walki z Gruźlicą i Towarzystwa do Walki z Alkoholizmem.

– Karol Adolph Pohlenz – odkrywca zielonogórskich złóż węgla brunatnego.

– Eduard Seidel – przemysłowiec, twórca zielonogórskiego szkolnictwa zawodowego w zakresie sadownictwa, warzywnictwa i winiarstwa.



Piszę ten tekst jak zwykle przy oknie spoglądając od czasu do czasu na kończący się cykl prac inwestycyjnych przy budynku mieszkalnym budownictwa komunalnego wznoszonego przy ul. Kilińskiego. Byłem prawie pewien, że zostanie pobudowana naprzeciw moich okien taka waliza mieszkalna, których wiele przy ulicy Jaskółczej, Krasickiego i Piastowskiej. A tutaj przyjemne rozczarowanie. Bryła budynku zróżnicowana. Elewacja z trzech pseudoryzalików z balkonami, wykuszami, zaokrąglonymi narożnikami i potrójnie łamanym dachem. Jeszcze niedokończona budowa, ale już zda się sugerować, że skończył się czas budownictwa a zaczął architektury mieszkalnej. Ile lat trzeba było na to czekać?

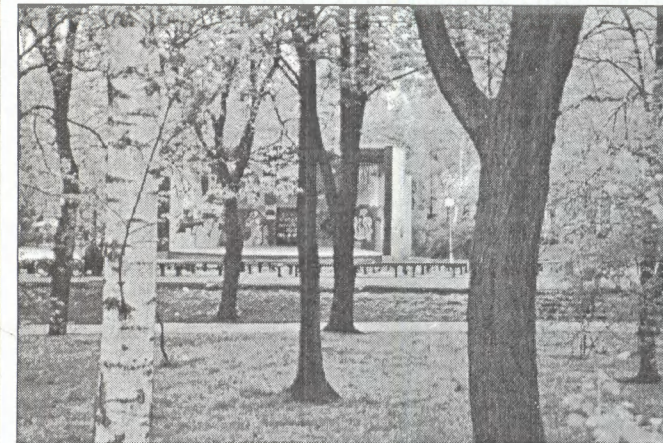
Zdaję sobie sprawę, że pisząc o Marianie Szpakowskim trzeba by pisać o całym środowisku, w którym się obracał, w którym przebywał, które tworzył czy inspirował do działania. Nie sposób jednak tego uczynić w nocy poświęconej pamięci o jednym człowieku. Trzeba pamiętać jednakże, że dokonuje się wtedy dużych uproszczeń, szczególnie w odniesieniu do ludzi, którzy określili się w działaniach zbiorowych, a do takich należał przede wszystkim Marian.

Marian Szpakowski urodził się 11 stycznia 1926 roku w Zaleszczykach z ojca Władysława i matki Julii, a zmarł 1 wrze-

– Hugo Söderström – rajca miejski, wydawca, księgarz, dziennikarz, filantrop, prezes pierwszego zarządu Niemieckiego Związku Szachowego.

– dr med. Eduin Teupel – rajca miejski, internista, szef miejskiej służby sanitarnej, twórca pierwszej w mieście stacji epidemiologicznej.

Cały park otoczony jest ogrodzeniem z naturalnej zieleni, zwłaszcza od strony zachodniej i wschodniej, natomiast od strony południowej i północnej – jest to mur ogrodzeniowy uzupełniany żelaznym płotem. Na terenie parku znajduje się tzw. muszla koncertowa, budowla stosunkowo młoda, pochodząca z lat sześćdziesiątych.



Muszla koncertowa w parku Tysiąclecia.

śnia 1983 roku w Zielonej Górze, mieście do którego przybył w styczniu 1954 roku jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki. Po dwudziestu latach w rozmowie z Henrykiem Ankiewiczem powie: „Mieszkając w Przemyślu, z okna mojego mieszkania przyglądałem się codziennie przetaczaniu na bocznicę pociągu „Przemyśl-Zielona Góra” – zastanawiałem się wtedy, gdzie też dokładnie leży to miasto i jakie ono jest. Być może ten właśnie widok z okna sprawił, że propozycję kolegów, żeby zajrzeć do Zielonej Góry, przyjąłem chętnie. Powód był zresztą jeszcze jeden i chyba najważniejszy. Otóż rozeszła się w naszym krakowskim środowisku wieść, że plastycy osiedlający się w województwach zachodnich otrzymają materialne stypendia”.

Marian Szpakowski Akademię Sztuk Pięknych zakończył w Pracowni Rudzkiej-Cybisowej w latach 1948-1954. Tak więc do Zielonej Góry przybył bezpośrednio „po szkole”, bez doświadczenia i dorobku. Wydział Kultury ówczesnego Prezydium umieścił absolwentów w hotelu „Pod Orłem”, a następnie zaproponował mieszkanie w Cigacicach. Marian Szpakowski zamieszkał jednak w Zielonej Górze przy ulicy Ludowej. Wkrótce okazało się, że z nadzwyczajną energią włączył się do życia społecznego. Obok pracy zarobkowej (sprzedawał portrety, które z wielką łatwością wykonywał) pochłaniającej czas, wystarczyło go jednak na tyle, aby mógł zaprezentować środowisko w okręgu poznańskim ZPAP. Wkrótce jednak dzięki zapobiegliwości Jego jak i pozostałych artystów powołano delegaturę poznańskiego okręgu ZPAP, gdzie Szpakowski był aktywnym członkiem Zarządu, a od 1961 już wiceprezesem okręgu ZPAP w Zielonej Górze. Już wtedy poczyną się krystalizować postawa twórcza Mariana Szpakowskiego. Bardzo

wcześniej zauważony jako plastyk miał za sobą kilka pozytywnych rozwiązań natury organizacyjnej. Będący w bliskim kontakcie z plastykami Leszek Kania mówi o okresie szczególnej aktywności środowiska:

„Niewątpliwie takim okresem były lata sześćdziesiąte. Wówczas zrodziły się inicjatywy, które na dłuższy czas integrowały miejscowe środowisko. Powstała grupa „Krag”, „Złote Grono”. Przybywały kolejne generacje wykształconych artystów. Zielonogórski oddział ZPAP choć stosunkowo nieliczny, należał do najbardziej prężnych w kraju. Funkcję prezesa sprawował Szpakowski, który chciał, aby to miasto znane było w Polsce nie tylko z wytwórni wódek i Winobrania...”

Kiedy przyjeździ podziwiać zielonogórski deptak, kiedy tutaj koncentruje się życie towarzyskie, kiedy szeroko otwiera podwoje galeria U Jadźki, to znaczy, że duch plastyka miejskiego krąży wśród nas. Towarzyszą mu zapewne cienie Klema Felchnerowskiego byłego wojewódzkiego konserwatora zabytków i Henryka Tarki byłego architekta wojewódzkiego, którzy także już w latach pięćdziesiątych marzyli o wyprowadzeniu komunikacji z centrum zabytkowego miasta.

Deptak, miejsce serdeczne, treść miasta.

Salon Biura Wystaw Artystycznych przy al. Niepodległości tuż obok muzeum, to ponure pudło wciśnięte na całe szczęście między eklektyczną szkołę muzyczną z 1897 i muzeum prawie z tego samego czasu. Elewację BWA uratował Marian Szpakowski. Jest to jedyny obiekt w Zielonej Górze, gdzie w takiej skali zaistniało dzieło plastyczne. Nie rzucająca się w oczy, podporządkowana architekturze, o ile tak można o tym baraku powiedzieć, forma geometryczna rozbiła głuchą, gładką ścianę fasady przez sugestię dynamicznego oddziaływania na siebie rzutów walca, stożka i rombów. Ta elewacja to świadectwo potencjalnych możliwości związku plastyka i architekta.

Estetyczne zagadnienia związane z rozwojem przestrzennym Zielonej Góry związane są z osobą Mariana Szpakowskiego poprzez pełnioną przez niego funkcję plastyka miejskiego. Udział natomiast w Komisji Artystycznej Wydziału Kultury i Sztuki odzwierciedla aktywność całego środowiska plastycznego, którego funkcję reprezentacyjną w różnych wydarzeniach pełnił Marian Szpakowski. Tę aktywność wspierał autorytet malarza. Jako twórca bowiem po krótkim okresie wyzwalania się z poprawności akademickiej począł się objawiać na obszarze nowych środków wyrazu plastycznego. Porzucił kolor, aby w pejzażu wyrazić jego nową interpretację. To synteza doprowadziła go do form abstrakcyjnych. Jego malarstwo jest jakoby obrazem otaczającego nas świata widzianym z lotu ptaka.

W rytmach geometrycznych i uproszczeniach doszukiwał się formy, która najpełniej pozwoliła zrealizować Jego założenia teoretyczne. A na pewnym etapie dotyczyły one zatracenia granicy między malarstwem i grafiką. Nie chodziło Szpakowskiemu, aby jedną z tych dziedzin doprowadzić do destrukcji, lecz aby położyć znak równości między tym, co uprawia z dziedzin rozdzielonych nazwą, określeniem czy przynależnością poprzez technikę wykonywania. Dokonania plastyczne i teoretyczne poddawane były ocenie krytyków i teoretyków sztuki na ponad 150 wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju oraz w ponad 20 imprezach zagranicznych.

Brał udział w wystawach środowiska zielonogórskiego. Jego dzieła kwalifikowane były do każdej imprezy „Złotego Grona”.

W roku 1955 prace prezentował w Arsenale Warszawskim, a więc towarzyszył swojej twórczością najważniejszym wydarzeniom artystyczno-społeczno-politycznym. Prace Jego oglądano na kolejnych wystawach Ziemi Odzyskanych, na Festiwalach Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, na ogólnopolskich w Warszawie, Krakowie, za granicą w Bernie, Exeter, Londynie, Lublanie, Kopenhadze, Pradze, Rappaswil, Sztokholmie i Zurychu. Praca twórcza pozytywnie oceniana za poziom artystyczny, koncepcję i rozwiązanie techniczne była wielokrotnie nagradzana i wyróżniana (dwa złote medale na wystawach plastyki „Złotego Grona”, wyróżnienie na I-szym Biennale Grafiki w Krakowie to oceny, które Marian Szpakowski



Artysta w swojej pracowni przy ul. Wyspiańskiego.

Fot. Bronisław Bugiel

szczególnie wysoko sobie cenił ze względu na pierwszorzędną obsadę krajową i zagraniczną). W ślad za oceną artystyczną Marian Szpakowski zyskiwał autorytet i uznanie za działalność społeczną. Jej ocena znalazła wyraz w odznaczeniu Go Krzyżem Kawalerskim, Honorową Odznaką za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego i odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Ponadto Marian Szpakowski uzyskał wszystkie możliwe dyplomy i odznaczenia miasta Zielonej Góry, był też prezentowanym przez Henryka Ankiewicza kandydatem do tytułu „Lubuszanina Trzydziestolecia”. Marian Szpakowski odszedł w okresie, kiedy artysta poczynił dopiero korzystać w pełni z doświadczeń zdobytych na swojej drodze poszukiwań. Właśnie On formami dokładanymi do istniejącego świata ukazał swoją wolę twórczą jako proces dynamiczny, różnorodny, wolny i suwerenny. Jako artysta nie podlegał znanym i utartym prawom malarskiego widzenia świata, lecz objawiał się w dialektycznym procesie zmierzającym ku nowym i nieprzewidywanym kształtom. Tak skonstruowana świadomość artystyczna charakteryzuje całą twórczość Mariana Szpakowskiego. Odszedł artysta w pełni sił twórczych, przynoszących utrapienia, gorzkie zawody, drobne satysfakcje wyrażające się w stworzeniu nowego widzenia plastycznego. Czy to dla artysty dużo, czy mało? Dla Artysty to wszystko!

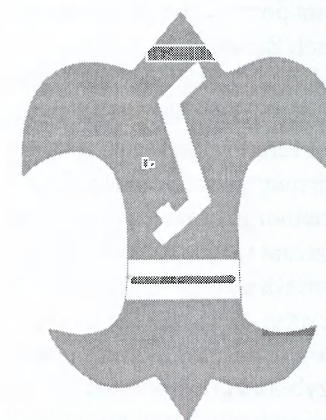
Jan Muszyński

HARCERZE SPÓD ZNAKU RODŁA

Związek Harcerstwa Polskiego na terenie Ziemi Babimojskiej

Motto: Prawdy Polaków

1. Jesteśmy Polakami.
2. Wiara naszych ojców jest wiarą naszych dzieci.
3. Polak – Polakowi bratem.
4. Co dzień Polak Narodowi służy.
5. Polska Matką naszą, nie wolno mówić o Matce złe.



Po zakończeniu I wojny światowej decyzją traktatu wersalskiego tereny pogranicza, a więc i Ziemia Babimojska zostały przyznane Rzeszy Niemieckiej. Tereny te od lat były silnie związane z Wielkopolską, z niej na pogranicze kierowani byli emigranci, których zadaniem było krzewienie polskości. Z chwilą włączenia Ziemi Babimojskiej do Niemiec zamierają na kilka lat przejawy organizowanej uprzednio pracy harcerskiej w wyniku wyjazdu wielu działaczy do odrodzonej Polski. Na szczęście okres ten nie trwa długo. Szczególny wpływ na uaktywnienie się terenów pogranicza południowego miał fakt połączenia harcerstwa polskiego w Niemczech (ZHPwN) w roku 1925 w jeden związek. Powstaje pierwsza drużyna – zastęp harcerski w Starym Kramsku. Organizatorem jej jest obywatel Polski – Zenon Nowak mieszkający w Poznaniu. Przyjeżdżał do Kramsku i organizował zajęcia typu harcerskiego. W krótkim jednak czasie władze policyjne zabroniły mu przyjazdu na tereny pogranicza.

Działalność harcerstwa od roku 1929 na Ziemi Babimojskiej jak i w innych ośrodkach polonijnych w Niemczech nie była jeszcze w pełni rozwinięta. Był to okres, w którym dokonywało się wiele prac organizacyjnych wewnątrz związku. W tym okresie drużyny i zastępy w swojej codziennej działalności kładły nacisk na te kierunki pracy, które pozwalały im przybliżyć Ojczyznę ojców i matek – Polskę. Powstanie na terenach pogranicza polskich szkół otworzyło nowy okres działalności harcerskiej. W oparciu o kadre nauczycielską, która podejmuje instruktorską działalność przy wszystkich szkołach z wyjątkiem Babimostu, powstają drużyny harcerskie.

1 maja 1929 roku powstaje pierwsza prywatna szkoła

polska w Starym Kramsku. Obejmuje w niej obowiązki nauczyciela Seweryn Kuchta. W Małych Podmoklach dzięki nauczycielowi Edmundowi Styp-Rekowskiemu i Józefowi Grotkowi zostaje założona drużyna, w skład której wchodzi chłopcy z Podmokli Małych i Wielkich. Również w Nowym Kramsku z chwilą powstania szkoły polskiej z inicjatywy kierownika Franciszka Sroki reaktywowana jest działalność harcerska. Głównym inicjatorem pracy harcerskiej był Seweryn Kuchta, będący jednocześnie instruktorem harcerskim w stopniu harcistrza. Wiedząc, że kole-dzy nie posiadają kwalifikacji instruktorskich, pomagał im w przygotowaniach i prowadzeniu zajęć. Młodzież bardzo chętnie uczestniczyła w zbiórkach harcerskich. Początkowo nie manifestowano przynależności do ZHPwN, co było podyktowane obawami przed represjami ze strony władz niemieckich. Działano dyskretnie. Praca drużyn charakteryzowała się głównie rozszerzeniem programu wychowania patriotycznego, którego nie można było zmieścić w programie szkolnym. Były to gawędy na tematy Polski współczesnej i jej historii, wspólne czytanie książek, nauka piosenek i tańców. Wszystko to przeplatane było różnymi zabawami i grami sportowymi oraz wycieczkami. Te wspólne spotkania dawały poczucie więzi, otuchy i wytrwałości w walce o polskość.

Mimo szczególnej ostrożności stosowanej przez instruktorów władze niemieckie znalazły powody, aby odmówić zezwolenia na pobyt w Podmoklach Małych druhowi Styp-Rekowskiemu, a następnie 2 maja 1932 r. los jego podzielił główny organizator pracy harcerskiej hm. Seweryn Kuchta. Na jego miejsce przychodzi młody, pełen zapału nauczyciel Bolesław Jechorek. Lecz i on za swą dużą aktywność musiał szybko pożegnać się z pracą w Starym Kramsku. Z chwilą odejścia Seweryna Kuchty zabrakło organizatora pracy harcerskiej. Życie drużyn prawie zanika aż do roku 1935, kiedy dokonują się zmiany w kierownictwie ZHPwN.

Rok 1933 początkuje nową falę walki o polskość. Dojście do władzy NSDAP powoduje jednocześnie wzmocnienie terroru wobec ludności polskiej. Na czoło walk o utrzymanie polskiego stanu posiadania w Niemczech wysuwa się młodzież polska.

Po dojściu do władzy Hitlera zlikwidowano wszystkie postępowe organizacje młodzieżowe wcielając je do Hitlerjugend.

W połowie 1933 roku wezwano ówczesnego naczelnika ZHPwN hm. Józefa Kwietniewskiego do Reischju-

gendfürunga (wodza młodzieży niemieckiej), aby proponować ZHPwN wstąpienie do Hitlerjugend na zasadach autonomii. Naczelnik odmówił i do końca, mimo wznawiania tych propozycji, grózb i szykan, ZHPwN nie przystąpiło do tej organizacji faszystowskiej. W celu stworzenia warunków do skuteczniejszej obrony przed germanizacją harcerstwo musiało dokonać zmian w kierownictwie i sposobie działania. Rozpoczęta w latach 1932/33 r. ofensywa młodych instruktorów harcerskich ze Śląska doprowadza na kolejnych zebraniach ZHPwN do istotnych przemian w związku w 1934/35 roku. Do Zarządu weszło wielu młodych, nowych działaczy. Przewodniczącym zostaje Paweł Kwonek z Opola, a naczelnikiem 22-letni Józef Kachel. Siedziba Zarządu ZHPwN przeniesiona zostaje z Berlina do Opola. Związek liczy 21 drużyn męskich (472 członków) i 7 drużyn żeńskich (196 członkiń). Ponadto 4 Koła Przyjaciół Harcerstwa (163 osoby), łącznie 821 członków. Taki stan ilościowy nie mógłby się skutecznie przeciwstawiać naporowi Hitlerjugend. Dlatego też praca Zarządu Głównego wkracza na nowe tory. ZHPwN stawia wyraźny postulat tworzenia placówek harcerskich wszędzie tam, gdzie istnieją skupiska ludności polskiej. Rozpoczyna się prawdziwa ofensywa harcerstwa, w której nie zabrakło harcerzy Ziemi Babimojskiej.

Rozpoczęto więc poszukiwanie kandydatów na drużynowych i hufcowych. Kierownictwo Dzielnicy oraz Związek Polaków w Niemczech postanowiło, że na teren babimojski pójda dwaj młodzi nauczyciele, którzy w czasie studiów w seminarium nauczycielskim w Rogoźnie byli czynnymi harcerzami. Byli to: Franciszek Sarnowski i Bogdan Kowalski. Ustalono też, że na zlot harcerski do Spały pojedzie jeden harcerz z Babimojszczyzny – Olek Domański z Podmokli Małych. Do Spały pojechał też Bogdan Kowalski odbywający praktykę nauczycielską w Rawiczu. Był on harcerzem od 1929 roku, członkiem najstarszej w ZHPwN drużyny – 1 MDH im. Zawiszy Czarnego w Berlinie.

18 września 1935 roku do Dąbrówki Wielkiej przyjeżdża inspektor ZHPwN hm Józef Kwietniewski, którego zadaniem były wyjazdy do ośrodków polonijnych w Niemczech w celu zapoznania się z poziomem pracy jak i aktualnymi postulatami harcerskimi w terenie. Wizyta ta zapoczątkowała nowy okres w dziejach harcerstwa na Ziemi Babimojskiej. Na zbiórkę organizacyjną przychodzi 10 chłopców, których po powitaniu druh Kwietniewski zaznajamia z zadaniami stojącymi przed harcerstwem polskim w Niemczech.

Nie musi mówić, co to jest harcerstwo, bowiem chłopcy mają już wiedzę z poprzedniego okresu działania. Rozpoczyna się normalna zbiórka harcerska, a więc śpiew, gry, ćwiczenia praktyczne, itp. Pod koniec zbiórki dh Kwietniewski wygłasza gawędę o Józefie Piłsudskim. Chłopcy postanawiają, że ich drużyna nosić będzie imię bohatera gawędy. Opiekunem drużyny zostaje Bogdan Kowalski. Następnego dnia, tj. 19 września dh Kwietniewski przyjeżdża do Podmokli Wielkich, gdzie oczekuje go młodzież z Małych i Wielkich Podmokli w liczbie 22 osób. Kierownikiem zostaje harcerz III stopnia dh Gerard Olejniczak,

zastępowym Jan Szymański, a opiekunem Stanisław Knak – kierownik szkoły. W zbiórce uczestniczyły też dziewczynki, z których utworzono drużynę harcerek. Harcerze z Podmokli Małych i Wielkich obrali sobie za patrona Adama Mickiewicza.

20 września odbyła się zbiórka w Nowym Kramsku z udziałem 50 harcerzy i harcerek. Chłopcy przyjmują imię Tadeusza Kościuszki, a dziewczęta imię Jadwigi – Królowej Korony Polski. Drużynowymi zostają Alfons Rewman i Weronika Ekiert. Opiekunami Roman Jaskólski i ochroniarka Jadwiga Lewiczówna. Po powrocie z podróży po Ziemi Babimojskiej Józef Kwietniewski w swym sprawozdaniu daje wysoką ocenę społeczeństwu polskiemu jak i młodzieży. Za największą bolączkę uważa brak kwalifikowanej kadry. W tym okresie jedynie dh Bogdan Kowalski był przygotowany do pracy instruktorskiej. Przebywał jednak na terenie Babimojszczyzny czasowo na urlopie zdrowotnym. Sugerował również zorganizowanie hufca zbąszyńskiego bądź babimojskiego.

Myśl zorganizowania hufca na pograniczu pld. stała się realna w 1935 roku, kiedy na teren Babimojszczyzny przybyli absolwenci seminarium nauczycielskiego w Rogoźnie: Franciszek Sarnowski i Bogdan Kowalski. Przybycie tych dwóch młodych nauczycieli na teren pogranicza zostało bardzo życzliwie przyjęte przez miejscową ludność. Franciszek Sarnowski objął funkcję nauczyciela w Podmoklach Wielkich, a Bogdan Kowalski został skierowany do Starego Kramska. Obaj po wstępnym rozpoznaniu środowiska rozpoczęli pracę harcerską.

Pierwszym najważniejszym zadaniem stojącym przed młodymi instruktorami było szybkie zorganizowanie kursu dla zastępowych. Po pokonaniu pewnych trudności organizacyjnych przeprowadzono dwa kursy w dniach 29.03 – 8.04.1936 r. Kurs żeński odbył się w Podmoklach Wielkich z udziałem 14 harcerek. Instruktorami były: Adela Wesołowska, phm. Helena Duchniakówna oraz Róża Konigsmannówna. Dla usprawnienia pracy kurs podzielono na zastępy. Zastęp I „Pszczółki” prowadziła Elżbieta Wilkówna, a zastęp II „Wiewiórki” – Weronika Ekiert. W tym pierwszym kursie zastępowych uczestniczyły: Benesek Agnieszka, Budych Maria, Blach Aniela, Cicha Agnieszka, Ekiert Weronika, Hała Marta, Konopnicka Maria, Muler, Piercha, Szymańska Janina, Wołek Marta, Wejman Helena, Wilkowska Elżbieta.

W tym samym czasie w Podmoklach Małych odbywał się kurs chłopców z udziałem 13 harcerzy. Instruktorami byli Władysław Brzóska i phm. Franciszek Głowacki. Chłopcy podzieleni byli na dwa zastępy, w skład których wchodził: Budych Grzegorz, Trocholepsz Franciszek, Wołek Jan I, Stasiński Franciszek, Rychły, Szeputo, Konduła, Wołek R., Wołek Jan II, Gartner T., Kania, Dudek, Konopnicki. Kursy były bardzo udane i pozwoliły im uczestnikom opanować podstawowe arkana wiedzy harcerskiej.

Z chwilą przybycia na teren Ziemi Babimojskiej młodych nauczycieli w działalności drużyn harcerskich rozpoczyna się okres systematycznej, wyteżonej pracy, który będzie trwał już bez przerwy do roku 1939. Praca ta uzyskuje

duże uznanie kierownictwa ZHPwN, co ma wyraz w decyzji o utworzeniu hufca babimojskiego, którego komendantem zostaje Franciszek Sarnowski, a przybocznym Bogdan Kowalski.

Szeregi harcerskie powiększają się. Przy wzroście tym zarysowuje się jednak dysproporcja między liczbą harcerzy a liczbą kadry instruktorskiej. Na terenie hufca było tylko trzech instruktorów: Sarnowski, Kowalski i Wesołowska. W celu właściwej pracy wszystkich drużyn postanowiono stworzyć ośrodki pracy drużyn. I ośrodek – Podmokle Wielkie. Działały w nim dwie drużyny. Męska im. Adama Mickiewicza – drużynowy F. Sarnowski oraz żeńska im. Marii Konopnickiej – drużynowa Zofia Sarnowska. Ośrodek liczył 60-70 osób. II ośrodek – Kramsko Nowe, w którym działały dwie drużyny: męska im. Tadeusza Kościuszki – drużynowy Bogdan Kowalski oraz żeńska im. Jadwigi Królowej Polski – drużynowa A. Wesołowska. Ośrodek liczył 40-50 harcerzy. III ośrodek – Dąbrówka Wielka. Pracą harcerską kierował Bogdan Kowalski, który dojeżdżał na rowerze. Istniała tam drużyna męska im. J. Piłsudskiego skupiająca 12 harcerzy. Atmosfera wśród społeczeństwa polskiego była bardzo przychylna, co pozwoliło na dalsze rozwijanie pracy harcerskiej.

W listopadzie 1936 r. Niemcy wydają ustawę, w której obniżono wiek wstępowania do Hitlerjugend. Stworzony zostaje jej najmłodszy odłam Jungvolk, obejmujący swym działaniem dzieci w wieku 10-14 lat. Powstała sytuacja zmusza naczelnictwo ZHPwN do zastosowania nowej polityki działania, która przeciwstawiała by się wychowaniu dzieci polskich przez Jungvolk. Rozpoczyna się ofensywa pionu zuchowego, która swym działaniem obejmuje dzieci w wieku 6-11 lat. W dniach 3-4. 10. 1936 r. odbyła się w Bytomiu zwołana przez naczelnictwo ZHPwN narada starszyny harcerstwa w Niemczech. Z ramienia hufca babimojskiego w naradzie uczestniczyła cała trójka instruktorów. Na naradzie tej omówiono i zatwierdzono szczegółowy program ofensywy zuchowej. W tym celu powołano do życia wydział zuchowy. Zapada wiele ważkich decyzji, jak np. że do dnia 31.03.1937 r. wszystkie drużyny mają być umundurowane, a każdy harcerz ma posiadać legitymację harcerską.

Na Ziemi Babimojskiej przystąpiono do realizacji zadań. Najtrudniejszym problemem było utworzenie gromad zuchowych. Postanowiono więc, że do czasu przeszkolenia instruktorów zuchowych nie będą organizowane samodzielne gromady zuchowe. Dzieci polskie od lat 8 będą tworzyć grupy zuchowe przy istniejących drużynach harcerskich. Grupy takie powstały w Podmoklach Małych i Wielkich oraz w Kramsku Starym i Nowym.

Tym sposobem hufiec babimojski częściowo zrealizował pierwsze z postawionych zadań. Istotnym było umundurowanie harcerzy. Sprawa była tym ważniejsza, że niemiecka młodzież paradowała w mundurach swej organizacji wzbudzając zazdrość wśród młodzieży polskiej. Z pomocą w realizacji tego zadania przyszło kierownictwo ZHPwN dostarczając bezpłatnie stosowny materiał. Szycia mundurów podjęły się matki harcerzy. W ten sposób po

trzech miesiącach harcerze i harcerki kompletnie umundurowani, w granatowych beretach, zielonych koszulach, szarych chustach oraz granatowych spodniach bądź spódnicach, przedstawili się społeczeństwu Starego i Nowego Kramska na uroczystej zbiórce publicznej, na której część z nich złożyła przysiężenie. Na bluzach na lewym ramieniu widniała naszywka z czerwoną lilijką z rodłem i napisem ZHPwN – Nowe Kramsko. Było to wielkie wydarzenie hufca babimojskiego.

Terror władz niemieckich wobec Polaków wzrastał. Latem 1937 roku na dworcu we Frankfurcie nad Odrą grupy Hitlerjugend próbowały zrywać białe-czerwone flagi z pociągu, w którym harcerze z Polski jechali na międzynarodowy zlot do Holandii. Gestapo od dłuższego czasu prowadziło rejestr spraw harcerskich. Wszystkim imprezom towarzyszy „opieka niemiecka”. Rozpoczynają się szykany utrudniające organizowanie obozów w czasie lata. We wrześniu 1937 roku Niemcy wydają zakaz noszenia jednolitego umundurowania. Było to mocne uderzenie władz niemieckich w organizację harcerską. Nowo uszyte mundurki, z których tak bardzo cieszyli się harcerze, nie mogły im już towarzyszyć podczas imprez i uroczystości. Wzmagały się terror nie zahamował działalności harcerskiej. Wydany zostaje metodyczny podręcznik „Drużyna pod znakiem Rodła”.

Rok 1938 upłynął pod znakiem 25-lecia harcerstwa polskiego w Niemczech. Organizowane z tej okazji imprezy były jednym z czynników przeciwstawiających się wzrastającemu terrorowi: Centralne uroczystości odbyły się 2 maja w Opolu. Lata 1938/39 to okres wzmożonego napięcia politycznego. Terror i szykany w stosunku do mniejszości polskiej przybrały niespotykane dotąd rozmiary. W urzędzie rejonu frankfurckiego sporządzone zostają informacje szczegółowe o ludności polskiej. Wśród nich o instruktorach ZHPwN. Mimo to działalność harcerska nie ustaje. W początkach 1939 r. w Dąbrówce Wielkiej zostaje zorganizowana przez dh. Świercównę drużyna zuchowa. Stan organizacyjny hufca babimojskiego zamyka się liczbą 126 zuchów, harcerek i harcerzy.

2 kwietnia 1939 roku odbywa się ostateczne walne zebranie ZHPwN w Opolu. Wykazało ono dalszy wzrost członków organizacji, która zrzesza 3225 członków zorganizowanych w 13 hufcach. W skład zarządu wchodzi dh Franciszek Sarnowski. Jego wybór jest potwierdzeniem dalszego uznania dla rozwijającej się pracy harcerskiej na terenie hufca babimojskiego.

Wzrasta napięcie między Polską a Niemcami. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Zbliża się tragiczny wrzesień 1939 r. Wskutek zarządzenia zobowiązującego ludność polską do uzyskiwania każdorazowo zezwoleń na odbywanie zebrań, zbiorów i imprez, słabnie tempo działań harcerskich. Planowana akcja letnia wobec zakazu władz niemieckich nie dochodzi do skutku. Wzmaga się fala wysiedleń i aresztowań. Nadszedł dzień 1 września 1939 roku.

Tak oto ten dzień opisuje H. Jaroszyk w artykule „Rok 1939 w Nowym Kramsku”:

„... 1 września o 7 rano dzieci szkolne jak zwykle nastawiły w klasie radio, by wysłuchać wiadomości z Warszawy. Doszedł nas niewyraźny głos spikera, że wojska hitlerowskie przekroczyły granicę Polski... dziewczęta płakały. Odwróciłem się do okna, by ukryć przed dziećmi rozpacz. Z odętwienia wyrwały mnie dzwony na trwogę... wysłałem chłopca na zwiad. Sam zacząłem czytać dzieciom „Redutę Ordona”. Po chwili wrócił chłopiec z wiadomością, że pali się stodoła Jana Cichego. Zrozumiałem, że to prowokacja, hasło do aresztowań...”

Wieczorem do około godziny 20 do domu Bogdana Kowalskiego przyjechał autem komisarz niemiecki i zakomunikował mu, że wobec wybuchu wojny z Polską wszystkie organizacje zostają rozwiązane. Zażądał spisu członków i majątku harcerstwa. Kowalski dokumentów nie przekazał oświadczając, że wysłał je uprzednio do naczelnictwa na Śląsk. Do rewizji na szczęście nie doszło. W pokoju były wykazy prawie stu harcerzy. Rozpoczęła się fala aresztowań instruktorów i działaczy harcerskich.

Harcerstwo na Ziemi Babimojskiej w ciężkim okresie walki o utrzymanie polskości w pełni spełniło swoje zadanie. Była to zasługa klimatu i sympatii, jaką cieszyła się ta organizacja wśród społeczeństwa, a także wynik pracy nauczycieli polskich szkół. Byli nimi:

Antoni Nowak – obywatel polski, organizował pierwsze ogniwa harcerskie na Ziemi Babimojskiej w latach 1924/27. Władze niemieckie zabroniły mu przyjazdu do Niemiec.

Seweryn Kuchta – obywatel polski, organizował pierwsze ogniwa harcerskie. Nauczyciel szkoły polskiej w Starym Kramsku. Przebywał tam od maja 1929 roku do 1932. Główny organizator pracy harcerskiej. Instruktor w stopniu harcmistrza. Za aktywną działalność odebrano mu zezwolenie przebywania na terenie Niemiec.

Edmund Styp-Rykowski – obywatel niemiecki, nauczyciel polskiej szkoły w Podmoklach Małych w latach 1929-1930. Za aktywną działalność wydany z pogranicza południowego. W późniejszym okresie komendant hufca w Złotowie. W 1942 roku zamordowany w obozie koncentracyjnym w Mathausen.

Józef Grot – obywatel niemiecki, nauczyciel szkoły polskiej w Podmoklach Małych w latach 1930-1936. Prowadził działalność harcerską po Step-Rekowskim. Zginął w roku 1940 w obozie koncentracyjnym w Mathausen.

Stanisław Krzak – obywatel polski, nauczyciel polskiej szkoły w Podmoklach Wielkich w latach 1929-1935. Był opiekunem drużyny harcerskiej. Za aktywną pracę wydany z terenu Niemiec.

Bolesław Lewandowski – obywatel polski, nauczyciel polskiej szkoły w Starym Kramsku w latach 1932-1935. W tym okresie prowadził działalność harcerską. Wydany z terenu Niemiec.

Franciszek Sroka – obywatel polski, kierownik szkoły polskiej w Nowym Kramsku. W latach 1930-1933 prowadził działalność harcerską.

Roman Jaskólski – obywatel polski, nauczyciel polskiej szkoły w Nowym Kramsku w latach 1935-1936. Za aktywną działalność wydany z terenu Niemiec.

Jadwiga Lewiczówna – obywatelka polska, ochroniarka polskiej ochronki w Nowym Kramsku w latach 1935-1936. Opiekunka drużyny harcererek. Z Kramska wyjechała do Polski.

Franciszek Sarnowski – obywatel niemiecki, kierownik szkoły polskiej w Podmoklach Wielkich w latach 1936-1939 r. Główny organizator prężnej działalności harcerskiej. Hufcowy babimojski. Od 1937 roku członek władz naczelnych ZHPwN. Zginął w 1942 roku w obozie w Sachsenhausen.

Bogdan Kowalski – obywatel niemiecki, nauczyciel polskiej szkoły w Starym Kramsku w okresie 1936-1939 roku. Opiekun drużyny w Dąbrówce Wielkiej od 1935 r. Od roku 1936 drużynowy i komendant ośrodka drużyn kramskich. Przyboczny hufca babimojskiego. Aresztowany przebywał w obozie w Oranienburgu. Po zakończeniu wojny wraca na Ziemię Lubuską do Sulechowa, gdzie podejmuje pracę nauczycielską i instruktorską.

Zofia Sarnowska – obywatelka niemiecka, żona Fr. Sarnowskiego. Prowadziła drużynę harcererek i gromadę zuchów w ośrodku Podmokle.

Adela Wesołowska – obywatelka niemiecka, ochroniarka polskiej ochronki w Nowym Kramsku w latach 1936-1937. Drużynowa harcererek. Po zamknięciu ochronki wyjeżdża do Dusseldorfu, skąd przenosi się do Włoch.

Henryk Jaroszyk – obywatel niemiecki, pracował w polskiej szkole w Nowym Kramsku. W 1938 r. pomagał w organizowaniu pracy harcerskiej.

Franciszek Dybowski – obywatel niemiecki, był hufcowym w Złotowie. Na teren Babimojszczyzny przybył w 1939 r. Pomagał w pracy harcerskiej w Dąbrówce Wielkiej.

Marta Świercówna – obywatelka niemiecka, nauczycielka polskiej szkoły w Dąbrówce Wielkiej w latach 1938-1939. Założycielka i wódz pierwszej samodzielnej gromady zuchowej.

Maria Różańska – nauczycielka polskiej szkoły w Podmoklach Małych. Następnie pracowała w Starym Kramsku. Pomagała w pracy harcerskiej. Więziona w Ravensbrück.

Wszyscy oni dali świadectwo ofiarności dla swych ideałów harcerskich. Wnieśli niemały wkład w walkę o utrzymanie i pielęgnowanie polskości na pograniczu w nadziei, że ziemie te powrócą do macierzy. Dziś pragnienia te są spełnione, a zachowane od zagłady pamiątki kultury materialnej i społecznej są w dużej mierze zasługą aktywnego działania harcerstwa polskiego w Niemczech – harcerzy spod znaku rodła.

Wiesław Cieśla – harcmistrz

Bibliografia:

Ryszard Czapiewski, Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech na terenie Ziemi Lubuskiej w latach 1918-1939. Praca magisterska.

ZHP w mieście Opolu 1919-1939. Praca zbiorowa.

Michał Lis, ZHP w Niemczech. Wybór tekstów źródłowych.

Z cyklu instruktorzy ZHP Ziemi Lubuskiej

Bogdan Kowalski



Nauczyciel, działacz harcerski, harcmistrz – urodził się 9.09.1912 r. w Berlinie. Tam też wstąpił do Związku Polaków w Niemczech w 1928 r. oraz do najstarszej drużyny ZHP – 1. MDH im. Zawiszy Czarnego skupiającej w swych szeregach młodzież polską uczącą się w szkołach średnich oraz pracującą zawodowo. Drużyna ta działała na terenie Berlina. Jej głównym celem

było utrzymanie za wszelką cenę polskości. Był to łącznik z kulturą i tradycjami polskimi. Gruntowną wiedzę harcerską i staranne przygotowanie do pracy z młodzieżą nabył dh Bogdan Kowalski w seminarium nauczycielskim w Rogoźnie Wlkp. Po zdobyciu kolejnych stopni harcerskich, zaliczeniu kursów oraz obozu instruktorskiego na Śląsku – mianowany zostaje podharcmistrzem w 1937 r.

W 1936 roku rozpoczął pracę jako nauczyciel w Starym Kramsku. Prowadził tam szeroką działalność kulturalną i harcerską. Od 1935 r. jest opiekunem drużyny im. J. Piłsudskiego w Dąbrówce Wlkp. oraz drużyny im. T. Kościuszki w Nowym Kramsku. Obejmuje również funkcję przybocznego hufca babimojskiego. Funkcje te pełni do wybuchu II wojny światowej.

Za swoje zaangażowanie i aktywną pracę w przekazywaniu kultury polskiej odbierają mu w dniu 31 lipca 1939 r. prawo nauczania. W 1936 r. uczestniczy w jubileuszowym zlocie ZHP w Spale.

Bogdan Kowalski był nazywany przez Niemców „Fanatycznym bojownikiem o sprawę polską”. Po wybuchu II wojny światowej udało mu się schować dokumentację hufca i kartoteki harcerzy. 11.09.1939 r. zostaje aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen i Oranienburgu. Zwolniony w lipcu 1940 r., przebywał przymusowo w Berlinie do końca wojny.

Po zakończeniu wojny pracował krótko jako nauczyciel w Rogoźnie. Pełnił tam funkcję hufcowego. W 1948 r. podejmuje pracę w Starym Kramsku, a następnie w Liceum Pedagogicznym w Sulechowie. Przez długie lata działa w harcerstwie.

Odnznaczony wieloma odznaczeniami państwowymi i młodzieżowymi. Odszedł na „wieczną wartę” w 1985 roku.

Pory roku

W powszechnym użyciu funkcjonują astronomiczne pory roku zwane niekiedy kalendarzowymi; rzadziej posługujemy się klimatologicznymi porami roku, które charakteryzują temperatury powietrza. W obecnym opowiadaniu omówię pokrótce, na czym polegają pory roku astronomiczne oraz nieco szerzej opowiem, jak wyglądają klimatologiczne pory roku na podstawie danych Stacji Meteorologicznej w Zielonej Górze za trzydziestolecie 1966-1995.

Dlaczego na Ziemi zmieniają się pory roku? Ponieważ oś Ziemi jest nachylona do płaszczyzny orbity pod kątem 66,6°. Przez pół roku bardziej nachylona do płaszczyzny orbity jest półkula północna i wtedy na północy trwa wiosna a potem lato, a na południu jest jesień i zima. Potem sytuacja się odwraca. Myślę, że dokładnie wyjaśnia to zjawisko rysunek nr 1.

Krażenie Ziemi wokół Słońca powoduje pozorny ruch tego Słońca na tle gwiazdozbiorów. Ich nazwy w większości związane są z nazwami zwierząt, stąd ich nazwa „znaki zodiaku”. Na półkuli północnej wiosna zaczyna się wówczas, gdy Słońce, widziane z Ziemi znajduje się w punkcie Barana, to jest 21 marca, lato zaczyna się, gdy Słońce widoczne jest w kierunku

ku punktu Raka – 22 czerwca, jesień rozpoczyna się z chwilą minięcia przez Słońce punktu Wagi – 23 września, wreszcie, gdy Słońce mija znak Koziorożca – 22 grudnia – zaczyna się zima. Z powodu lat przestępnych daty te mogą być przesunięte o jeden dzień.

Znak Barana używany jest w astronomii jako „punkt początkowy” (podobnie jak zerowy południk w siatce geograficznej opisującej Ziemię). Pierwszego dnia wiosny następuje zrównanie dnia z nocą. Jest to sytuacja wyjątkowa, ponieważ wiosną i latem dni trwają dłużej niż noce, a jesienią i zimą krócej. W ciągu roku są tylko dwa dni równe nocy – pierwszy dzień wiosny i pierwszy dzień jesieni.

Orbita Ziemi ma kształt minimalnie spłaszczonej elipsy. Fakt ten powoduje zmianę odległości między Słońcem a Ziemią. Zimą jest ona najmniejsza (147 milionów kilometrów), a latem największa (152 mln km). Zgodnie z prawem ruchu planet, im mniejsza jest odległość między Słońcem a Ziemią, tym większa prędkość. Ziemia okrąża Słońce poruszając się ze średnią prędkością 30 km/sek. – zimą kilometr na sekundę szybciej niż latem. Jeśli orbitę Ziemi podzielimy umownie na dwie połowy

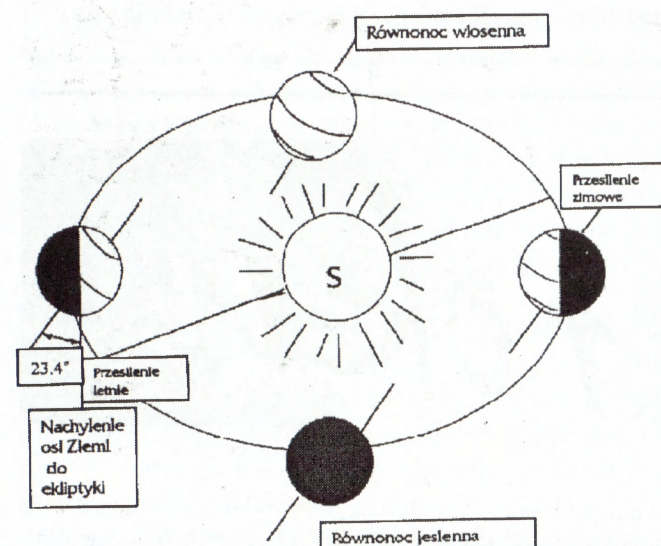
„zimową” i „letnią”, to na przebycie „zimowej” połowy Ziemi potrzebuje 179 dni, a „letniej” 186 dni. Wynika z tego interesujący wniosek, że wiosna i lato trwa cały tydzień dłużej niż jesień i zima. Długość poszczególnych pór roku nie jest stała i wynosi: wiosna – 92 dni 19 godzin, lato – 93 dni 15 godzin, jesień 89 dni 20 godzin i zima 89 dni.

Na półkuli południowej jest odwrotnie – najdłuższą porą roku jest zima, najkrótszą zaś lato.

W rzeczywistości długości pór roku nie są stałe, co roku następują minutowe zmiany, które doprowadzają, mniej więcej po upływie 10 000 lat, do tego, że na półkuli północnej Ziemi najdłuższa będzie zima, a lato stanie się najkrótszą porą roku.

W klimatologii podstawowym kryterium pór roku jest rzeczywisty przebieg temperatury powietrza.

Roczne wahania temperatur powietrza zależą przede wszystkim od zmian dopływu ciepła od Słońca w ciągu roku, a więc są zależne od szerokości geograficznej. Gdyby jednak tylko ten czynnik miał wpływ na klimat, pory roku astronomiczne pokrywałyby się z porami roku klimatologicznymi. Na rzeczywisty rozkład temperatur powietrza, obok promieniowania słonecznego, mają również wpływ inne czynniki, o których pisałem w numerze 8 naszego pisma. Wymienię obecnie tylko zasadnicze z nich: obieg wilgoci, cyrkulacja atmosfery, rozkład lądów i mórz, prądy morskie, ukształtowanie terenu i wyso-



kość nad poziom morza, pokrycie terenu oraz działalność człowieka.

Polski meteorolog prof. Romuald Merecki (1860-1922) w swym dziele „Klimatologia Ziemi Polskich” wydanym w 1915 roku dla środkowych obszarów strefy umiarkowanej półkuli północnej, w której leży Polska, wyróżnia 6 pór roku.

1. Zima jest okresem z temperaturą średnią dobową powietrza $< 0^{\circ}\text{C}$.
2. Przedwiośnie z temperaturą od 0° do $4,9^{\circ}\text{C}$.
3. Wiosna z temperaturą od $5,0^{\circ}$ do $14,9^{\circ}\text{C}$.
4. Lato z temperaturą $> 15,0^{\circ}\text{C}$.
5. Wczesna jesień z temperaturą od $14,9^{\circ}$ do $5,0^{\circ}\text{C}$.
6. Jesień z temperaturą od $4,9^{\circ}$ do 0°C .

W oparciu o te kryteria, na podstawie danych Stacji Meteorologicznej w Zielonej Górze za okres trzydziestolecia 1966-1995, dokonałem obliczeń, jaki jest przebieg pór roku na na-

szym terenie. W opracowaniu posługiwałem się temperaturami średnimi dobowymi obliczonymi z 8 terminów obserwacyjnych na dobę. Za początek pory roku przyjąłem okres, w którym przez 5 kolejnych dni temperatura średnia dobowa była w przedziale dla nowej pory roku.

Jakie są daty początków klimatologicznych pór roku na naszym terenie?

P r z e d w i o ś n i e – temperatury średnie dobowe od 0° do $4,9^{\circ}\text{C}$.

W omawianym okresie początek przedwiośnia mieliśmy 1 raz w styczniu, 14 razy w lutym i 15 razy w marcu, średnio 3 marca.

Najwcześniej początek przedwiośnia był 9 stycznia – w 1990 r., najpóźniej 28 marca – w 1969 r.

W i o s n a – temperatury średnie dobowe od $5,0^{\circ}$ do $14,9^{\circ}\text{C}$.

Początek wiosny mieliśmy 17 razy w marcu, 13 razy w kwietniu, średnio 28 marca.

Najwcześniej przysła do nas wiosna 3 marca – w 1977 r., najpóźniej 17 kwietnia – w 1970 r.

L a t o – temperatury średnie dobowe $> 15,0^{\circ}\text{C}$.

Początek lata w omawianym 30-leciu mieliśmy raz już w kwietniu, 16 razy w maju i 13 razy w czerwcu, średnio 29 maja.

Najwcześniej początek lata był 22 kwietnia – w 1993 r., najpóźniej 26 czerwca – w 1987 r.

W c z e s n a j e s i e Ń – temperatury średnie dobowe od $14,9^{\circ}$ do $5,0^{\circ}\text{C}$.

Pięciokrotnie wczesna jesień rozpoczęła się w sierpniu, 24 razy we wrześniu i raz w październiku, średnio 8 września.

Najwcześniej początek wczesnej jesieni mieliśmy 20 sierpnia – w 1981 i 1986 r., najpóźniej 3 października – w 1975 r.

J e s i e Ń – temperatury średnie dobowe od $4,9^{\circ}$ do 0°C .

Początek jesieni w 10 przypadkach był w październiku, w 20 przypadkach w listopadzie, średnio 6 listopada.

Najwcześniej początek jesieni mieliśmy 20 października – w 1973 i 1991 r., najpóźniej 28 listopada – w 1986 r.

Z i m a – temperatury średnie dobowe $< 0^{\circ}\text{C}$.

Początek zimy w 18 przypadkach był w listopadzie, w 11 przypadkach w grudniu i raz w lutym, średnio 1 grudnia.

Najwcześniej mieliśmy początek zimy 13 listopada – w 1984 r., najpóźniej zaczęła się zima 1974/75, bo dopiero 4 lutego 1975 r. Różnice w terminach pór roku astronomicznych i średnich pór roku klimatologicznych podaję w tabeli nr 1.

T a b e l a nr 1.

Pora roku	astronomiczna	klimatologiczna
Przedwiośnie	–	3 marca
Wiosna	21 marca	28 marca
Lato	22 czerwca	27 maja
Wczesna jesień	–	8 września
Jesień	23 września	6 listopada
Zima	22 grudnia	1 grudnia

Opracował: Ryszard Krassowski

Dzieje zielonogórskiego winiarstwa

Ziemia Lubuska jest regionem, gdzie tradycje winiarskie zachowały się do dziś, a Zielona Góra uznana została za kolebkę polskiego winiarstwa.

Pierwszą wzmiankę o zielonogórskich winnicach podaje kronika w 1314 r. w związku z panującą tutaj zarazą, przed którą ludność schroniła się wśród winnic.

Do ważniejszych ośrodków winiarskich, oprócz Zielonej Góry, należały Gubin i Krosno Odrzańskie. Na mniejszą skalę uprawiano winnice w Świebodzinie, Lubsku, Bytomiu Odrzańskim, Sulechowie, Kargowej, Czerwieńsku, a nieco później we wsiach Chynów, Zawada, Krępa, Wysokie, Wilkanowo i Łężyce.

Bardzo znany w tym okresie był ośrodek gubiński. Mieszczanie gubińscy otrzymali w 1280 r. pozwolenie przekształcenia miejskich pastwisk na plantacje winorośli. Świadczy to o tym, że w tym czasie było duże zapotrzebowanie na surowce do produkcji wina. Wino gubińskie stosunkowo wcześniej stało się przedmiotem handlu. Już w 1327 r. w rejestrach komory celnej we Wrocławiu znajdowały się, obok znanych win węgierskich, austriackich czy niemieckich, wina gubińskie. W krótkim czasie wina gubińskie zdobyły dobrą opinię i znalazły się na rynkach zagranicznych.

Do ważnych ośrodków należało też Krosno Odrzańskie. Winnice na stokach wokół miasta dawały na początku XIII w. – jak mówią kronikarskie zapiski – duże zbiory, a uprawiane gatunki były bardzo dobre.

W XIV w. uprawiano winnice i produkowano wino także w rejonie glogowskim. Świadczą o tym przywileje książąt glogowskich zezwalające na handel miejscowym winem.

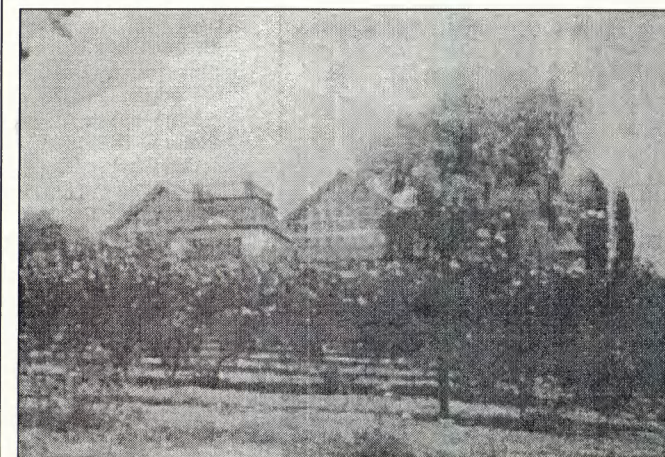
Prawdopodobnie pierwsze winnice w rejonie Świebodzina zakładali cystersi z Paradyża w 1250 r. Tak więc mnisi z Paradyża byli propagatorami uprawy winorośli. Często przy nazwiskach zakonników podawano zawód – winitor. Pod koniec XVI w. powstał nowy rejon produkcyjny zwany sulechowsko-świebodzińskim. Były to tereny północnego brzegu Odry. Na początku XIX w. nie było na tym terenie miejscowości, która nie posiadałaby plantacji winorośli.

Źródła czternastowieczne donoszą również o winnicach w okolicach Gorzowa. Winnice rozciągały się na wzgórzach wokół wiosek: Marcinowice, Małyszyn, Wieprzycze. Produkowane na tych terenach wina cieszyły się dobrą renomą. Uprawiane też były winnice w Solnikach i Kożuchowie.

Dla zielonogórskich winnic szczególnie pomyślny był okres u schyłku XV wieku. Złożyły się na to łagodne zimy oraz opieka panujących książąt, zapoczątkowana przez Henryka IX. W najlepszym okresie w ośrodku zielonogórskim znajdowało się ponad 4000 winnic, uprawianych w 64 rewirach, zarządzanych przez specjalnych zarządców, wybieranych przez Radę Miejską. Na początku XX w. liczba plantatorów w ówczesnym powiecie Zielona Góra, wynosiła około 2.500. Największe obszary winnic należały do właścicieli ziemskich. Powierzchnia upraw chłopskich w tym czasie wynosiła około 230 ha, uprawianych przez 1452 rolników. W obrębie miasta Zielonej Góry znajdowało się 700 ha winnic. Zielona Góra zaliczana była do największych ośrodków winiarskich na terenie Niemiec Wschodnich.

Obszar środkowego Nadodrza uważano za krainę winiarską, porównywaną często do sławnych ośrodków nadreńskich. Jakość wytwarzanego tu wina nie ustępowała produktom światowym. Wino to docierało do takich ośrodków, jak: Sztokholm, Gdańsk, Lubeka, Rostock, gościło na stołach wielkiego miasta Zakonu w Malborku. Anegdota mówi, że to właśnie zielonogórskie wino przyczyniło się do klęski rycerzy krzyżackich pod Grunwaldem, zagrzewając ich zbyt mocno przed sławną bitwą.

Należy przy tym podkreślić, że rzeczywiście dawne zielonogórskie wino posiadało opinię mocnego trunku. Zresztą w ogóle opinia o zielonogórskim winie jest bardzo ciekawa. Cze-



sto sami producenci ze względów handlowych wychwalali swoje wino, natomiast ze względów podatkowych robili wręcz odwrotnie. Stąd też mamy do czynienia z różną opinią.

Natomiast bezspornym jest fakt, że zielonogórskie winiarstwo przez kilka wieków kształtowało gospodarkę, kulturę i obyczaje lubuskiego regionu, stanowiło główne źródło utrzymania dla mieszkającej tu ludności, a więc nie był to epizod w dziejach naszego miasta, jak to niektórzy „znawcy” próbują przedstawiać, ale ponad 600 lat historii związanej z winiarstwem.

Trzeba też wiedzieć, że kurczenie się winnic, głównie z powodu klęsk żywiołowych, niszczących wojen i coraz słabszej ochrony własnego rynku, następowało w różnym okresie, ale zmniejszanie arealu wcale nie oznaczało upadku tej gałęzi produkcji. W krajach Europy zdarzało się wielokrotnie, że zmniejszały się uprawy winnic, ale produkcja własnych win nie upadła.

U nas upadek własnej produkcji win gronowych nastąpił w latach powojennych, kiedy to w ramach wspólnego rynku zaczęto importować wina, a własne winiarnie zamieniono na rozlewnie. Spowodowało to zmniejszenie winnic, a później z powodu braku zbytu na owoce zaniechano zakładania nowych.

Obecnie ponownie występuje zainteresowanie uprawą winorośli i produkcją własnego wina.

Uważam, że nie tylko ze względów gospodarczych, ale i z samego szacunku do historii i wspaniałej tradycji, należy w planach rozwoju regionu zwrócić większą uwagę na rozwój winiarstwa.

Stanisław Ostrowski



Zapiekanka cebulowa z piwem

- 1 kg cebuli • 60 g masła • 2 kg ziemniaków
- butelka piwa • 2 buteleczki śmietanki • sól, pieprz
- starta gałka muszkatołowa do smaku • 100 g startego żółtego sera (w oryginalnym przepisie parmezan)
- nieco masła (roślinnego) do posypania.

Cebulę drobniutko posiekać, dodać masło i dusić na małym ogniu. Gdy zacznie się lekko rumienić – zdjąć z ognia. Ziemniaki obrać, pokroić na cieniutkie plasterki. W płaskiej kamiennej lub żaroodpornej misce układać warstwami ziemniaki i cebulę tak, aby pierwszą i ostatnią warstwę stanowiły ziemniaki. Wymieszać piwo ze śmietaną, dodać sól, pieprz i gałkę muszkatołową, wysypać ser, wymieszać i zalać potrawę. Oprószyć na wierzchu cieniutkimi wiórkami masła. Wstawić do gorącego piekarnika (220 °C) i piec ok. 2 godzin. Gdy potrawa zacznie się rumienić, zmniejszyć ogień do 180 °C. Im dłużej się piecze, tym jest smaczniejsza. Podawać z surówką, np. sałatą.

Żeberka wołowe w piwie

800 g żeberek wołowych, 500 g marchwi, 2 duże cebule, 4 łyżki oleju, 3 łyżki masła lub margaryny, szklanka piwa, szklanka bulionu z kostki, 1-2 ząbki czosnku, 2 liście laurowe, tymianek, pieprz i sól do smaku.

Cebulę i marchew drobno pokrajać i smażyć na niewielkiej ilości masła do miękkości. Żeberka smażyć na oleju na wolnym ogniu. Przełożyć do żaroodpornego naczynia, na mięsie ułożyć warzywa, posolić, posypać pieprzem i dodać przyprawy: tymianek, liście laurowe i drobno posiekany czosnek. Dodać resztę masła. Bulion z piwem gotować osobno do chwili, gdy zostanie 1/3 pierwotnej objętości, następnie wlać do naczynia z mięsem. Piec około 60 minut pod przykryciem w gorącym piekarniku.

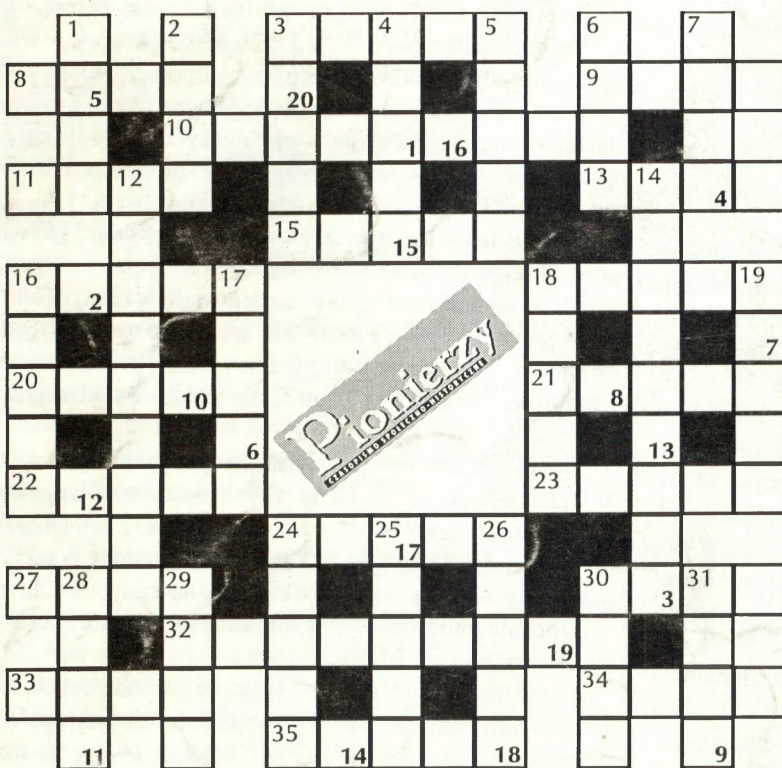
Pączki Babci na piwie

Masa: • 50 g mąki • 1/8 l piwa • 75 g szynki (lub chudego boczku) • 75 g ziemniaków • sól, pieprz
Ciasto: • 150 g mąki • 3/4 szklanki piwa • jajko
• tarta bułka • olej do smażenia.

Z mąki, jajka i piwa przygotować ciasto (powinno być bardziej gęste niż na naleśniki). Ugotować ziemniaki, przestudzić, pokroić na małe kawałki. Szynkę pokroić w paseczki, jajka ubić z mąką i piwem. Wszystkie składniki wymieszać. Włożyć masę do dobrze natłuszczonej formy posypanej tartą bułką, zapiec, ostudzić i pokroić w kawałki (12-15). Każdy kawałek maczać w cieście i smażyć na bardzo gorącym oleju.

Stanisław Prałat

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



Poziomo:

3. jeden ze zmysłów, 8. napój z pianką, 9. odzywka telefoniczna, 10. sałata w marcu, 11. do malowania i całowania, 13. wyraz twarzy jak pocisk, 15. Zenon dla kolegów; 16. zagadka obrazkowa, 18. dacza nad jeziorem, 20. sklejka, 21. zastępuje nam schody, 22. „Halka” Moniuszki, 23. dychawica, napady duszności, 24. recytujący piosenkarz, 27. syn mojego ojca, 30. obwódka na czapce wojskowej, 32. na głowie żołnierza, 33. chora rzeka, 34. informator drogowy dla kierowców, 35. wirnik.

Pionowo:

1. na złamanej ręce, 2. małżonka, 3. parów, głęboka dolina o stromych zboczach, 4. zwój papieru, 5. lekka łódź sportowa, 6. powieść Orzeszkowej lub człowiek ordynarny, 7. tytuł polskiej telenoweli, 12. pudełko do tytoniu, 14. przywilej nietykalności posłów, 16. kowbojskie popisy na koniach, 17. mebel na ubrania, 18. porcja leku, 19. oddział w szkole, 24. dyscyplina wojskowa, 25. słodki ziemniak, 26. pojazd jednośladowy, 28. rudy grzyb, 29. tłuszcz rybi, 30. zieleń na pustyni, 31. pies myśliwski.

STANGAR

Litery z ponumerowanych pól w dolnych narożnikach od 1 do 20 utworzą hasło, które prosimy przesłać na adres redakcji „Pioniera” do 30 VIII. Za prawidłowe rozwiązanie hasła rozlosowane zostaną nagrody książkowe.